

**Stowarzyszenie Absolwentów
Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu**

Biuletyn Absolwenta nr 61



***Józef Dziąsko i Władysław Kopyś
na Pikniku Pod Kasztanami***

WRZESIEŃ 2014

Spis treści

Od redakcji	3
<u>Z życia uczelni</u>	
Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu otrzymała certyfikat „Uczelnia Liderów 2014”	4
Prof. Andrzej Rokita został wybrany do Zarządu Głównego Akademickiego Związku Sportowego	4
Spotkanie Imieninowe u Pani Docent Zofii Dowgird	5
AWF kocha muzykę	5
Wykład prof. dr hab. Zbigniewa Lwa-Starowicza	6
<u>Z życia organizacji</u>	
Piknik „Pod kasztanami”	7
Przedstawiciel Zarządu tam był	8
Zapowiedzi planowanych zjazdów	9
<u>Zjazdy rocznikowe</u>	
Powrót do źródeł po 60 latach od ukończenia studiów	10
Zjazd trzech roczników – Pobierowo, maj 2014 r.	10
<u>Sylwetki</u>	
Jerzy Pietkiewicz	13
Nasi absolwenci, olimpijczycy... - Andrzej Biegalski	14
<u>Wspomnień czar</u>	
Winną była ataksja !	18
„Klan” Ostapowiczów	20
Ręce do góry	30
<u>Pro memoria</u>	
Żegnaj Ryśku!	34
Wspomnienie o Jurku Pielu	35
O trzech Bożenach	36
Pożegnania!	41
Andrzej Werner 1940-2014	43
<u>Listy</u>	
Kochani Redaktorzy!	44
Szanowne i szacowne grono absolwentkie ze Stowarzyszenia Absolwentów AWF we Wrocławiu	45
Życzenia	46
<u>Sport</u>	
Srebrny medal Halowych Mistrzostw Świata	48
Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu Mistrzem Dolnośląskiej Ligi Międzyuczelnianej	49
Sukcesy sportowe pracowników Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu ..	50
II Dolnośląskie Święto Sportu	50
<u>Wiersze</u>	
Kartka z podróży, Sny	52
Poranek we Wrocławiu	53
<u>Humor</u>	
Olężnica w anegdocie z notatnika Henryka Nawary - Butonierka	54
Terminarz spotkań w Dworze Polskim	55

Od redakcji

Mili czytelnicy. Na wstępie mamy dla Was bardzo ważną wiadomość!!! W związku ze zmianą banku zmienił się numer naszego konta bankowego: 73 1950 0001 2006 0778 4196 0002.

Uwaga dla wpłacających za granicą – najpierw wpisujemy kod SWIFT / za granicą określany mianem kodu BIC/ : IEEAPLPA po nim podany wyżej numer konta oraz dodatkowo w temacie przelewu podać należy kod: RCBWPLPW.

Poprzednie konto do końca roku będzie jeszcze funkcjonowało, choć nie ukrywamy, pragnęlibyśmy, aby kolejne wpłaty już były kierowane na to nowe.

A co przynosi 61 numer? Jak zawsze najciekawsze wydarzenia z życia uczelni, której sukcesy na arenie krajowej pilnie odnotowujemy. Dziś gratulujemy władzom uczelni certyfikatu „Uczelnia Liderów 2014”. Opisujemy też spotkanie z Panią Docent Zofią Dowgird, z okazji Jej 97-ych urodzin. Zaś w części poświęconej temu co u nas, na uwagę zasługuje reportaż z majowego pikniku, który z roku na rok gości coraz większą grupę absolwentów, a jego niezawodni sponsorzy - Józef Dziąsko i Włodek Kopyś - zaskakują propozycjami kulinarnymi. Są też już sprawozdania ze zjazdów.

W odpowiedzi na nasz apel dotyczący współpracy, dotarły do nas materiały, które, mamy nadzieję, będą ciekawą dla Was lekturą. Zaproponował współpracę z naszym biuletynem kol. Jerzy Szczygalski, rocznik 1968, który będąc autorem kilku monografii sportowych podjął się opracowania cyklu pt. „Nasi absolwenci olimpijczycy”. Uzyskaliśmy też zgodę Tola Kaczyńskiego na przedruk opowiadań ze zbioru „Rykoszety i bomby”, który ukazał się w bardzo skromnym nakładzie jesienią ubiegłego roku. We wprowadzeniu do niego Tolo pisze: „...opowiadania są opisem szeregu przypadków, które mi się w życiu przydarzyły. I nie jest to literacka fikcja lecz autentyczne przeżycia autora podczas wojny, tuż po niej i w dniach pamiętnych tzw. wypadków poznańskich”. Cykl tych opowieści opatrzone jest własnymi rysunkami autora. A czy pamiętają Państwo cykl wspomnień Bogdana Ostapowicza „Bujny życiorys wuefiaka”? Tym razem kolega Bogdan prezentuje nam cykl rodzinny pt. „Klan”. W części sportowej przedstawiamy m. in. dokonania naszego sportowca weterana, któremu gratulujemy srebrnego medalu w rzucie dyskiem na Halowych Mistrzostwach Świata.

Zapraszamy do lektury kolejnego wydania naszego periodyku.

Z życia uczelni

Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu otrzymała certyfikat „Uczelnia Liderów 2014”



*Prof. Krystyna Zatoń z przyznaniem
naszej Uczelni certyfikatem*

W dniu 18 czerwca 2014 roku w Auli Leopoldyńskiej Uniwersytetu Wrocławskiego odbyła czwarta edycja Ogólnopolskiego Programu Certyfikacji Szkół Wyższych „Uczelnia Liderów”.

Certyfikaty otrzymują szkoły wyższe, które starają się kształcić absolwentów atrakcyjnych dla rynku pracy, twórczych, kreatywnych, wyposażonych w szeroka wiedzę i umiejętności praktyczne. Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu otrzymała

również certyfikat „Primus” za uzyskanie najwięcej punktów rankingowych wśród wszystkich szkół wyższych certyfikowanych w Programie.

Strona intern. Uczelni

Prof. Andrzej Rokita został wybrany do Zarządu Głównego Akademickiego Związku Sportowego



W dniach 6- 8 czerwca 2014r w Wilkasach odbyło się XXV Zebranie Sprawozdawczo - Wyborcze Akademickiego Związku Sportowego. Do Zarządu Głównego AZS (na kadencję 2014 - 2016)

*Skład Zarządu
Głównego AZS – od
lewej prof. A. Rokita*

został wybrany (po raz trzeci) dr hab. Andrzej Rokita, prof. AWF. Janusz Gaczkowski został członkiem Głównej Komisji Rewizyjnej.

Strona intern. Uczelni

Spotkanie Imieninowe u Pani Docent Zofii Dowgird



Fot.: H. Nawara

Imieninowe zdjęcie w domu solenizantki

15 maja br. Centrum Historii Uczelni gościło w domu **Pani doc. dr Zofii Dowgird z okazji Jej Imienin przypadających właśnie w tym dniu**. Do życzeń imieninowych dołączyliśmy również gratulacje z okazji niedawnych Urodzin, dla przypomnienia Solenizantka 5 maja br. skończyła 97 lat.

Pani Docent cieszy się nadal dobrym zdrowiem oraz świetną formą intelektualną. Z dużą swobodą przypomina nam wydarzenia z czasów pionierskich oraz wiele postaci z tamtego okresu. Ze wzruszeniem wspomina też tych, którzy niedawno odeszli. Nadal interesuje się bieżącymi wydarzeniami na Uczelni.

Tradycyjnie wprosił się na spotkanie w przyszłym roku, a wcześniej obiecał nam fotografie z wrześniowego jubileuszu 50. lecia Olejnicy; miejsce to wciąż jest bliskie sercu Pani Docent.

Centrum Historii Uczelni - Elżbieta Radziwon

AWF kocha muzykę

W ramach cyklu „AWF kocha muzykę” 5 maja 2014 roku uczestniczyliśmy w koncercie fortepianowym Sławomira Krysy, który miał miejsce w Klubie Muzyki i Literatury we Wrocławiu. W wydarzeniu kulturalnym wzięli udział studenci naszej Akademii, absolwenci Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu zrzeszeni w Stowarzyszeniu Absolwentów, zaproszeni goście i rodzice artyści. W uroczystej i miłej atmosferze wysłuchaliśmy następujących utworów: Preludium i Fugę Cis-dur J. S. Bacha, Sonatę C-



Wspólne zdjęcie po koncercie

dur L. V. Beethovena, Balladę F-dur op. 38 F. Chopina, Etiudę f-moll nr 10 F. Liszta i Etiudę c-moll op. 39 S. Rachmaninowa. Udanym i nagrodzonym występem pianista zakończył bisem, wykonując własną interpretację jednego ze znanych utworów filmowych. W podziękowaniu za piękny koncert artysta otrzymał od studentów upominki

przekazane przez Biuro Promocji naszej Uczelni, a mama artysty bukiet róż.

Henryk Nawara

Wykład prof. dr hab. Zbigniewa Lwa-Starowicza



Prof. Zbigniew Lew-Starowicz

W dniu 9 czerwca 2014 r. z inicjatywy Dziekana Wydziału Nauk o Sporcie Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu dr hab. Tadeusza Stefaniaka, prof. AWF miał miejsce wykład prof. dr hab. Zbigniewa Lwa-Starowicza pt. „Seks a aktywność fizyczna”. Prof. dr hab. Zbigniew Lew-Starowicz - ekspert z zakresu seksuologii, prezes Polskiego

Towarzystwa Seksuologicznego i Polskiego Towarzystwa Medycyny Seksualnej, autor wielu publikacji poświęconych seksuologii.

Wykład spotkał się z dużym zainteresowaniem uczestników.

Strona intern. Uczelni

Z życia organizacji

Piknik „Pod kasztanami”



Słoneczny piknik otwiera prorektor prof. Andrzej Rokita

Już po raz siódmy z inicjatywy Stowarzyszenia Absolwentów zrealizowane zostało plenerowe spotkanie pod nazwą „Piknik pod kasztanami”, od tego roku nazwany przez nas „S Ł O N E C Z N Y M”. Uroczystego otwarcia tego udanego wydarzenia dokonał Prorektor ds. Studenckich i Sportu Akademickiego dr hab. Andrzej Rokita, prof. AWF, w towarzystwie

małżonki i kanclerza naszej Uczelni dr. Zdzisława Paligi. Tradycyjnie spotkanie odbyło się w miejscu szczególnie nam bliskim, w którym przed laty miało miejsce pierwsze, historyczne posiedzenie Rady Wydziału. Wśród smakowitych zapachów i nieustających serdeczności szybko upływały chwile, a rozłożysty kasztanowiec z wyrozumiałością spoglądał z góry na wiecznie młodych, rozbawionych studentów. Wspólna fotografia dopełniła całości. Dobrze jest spotkać się w takim gronie, pośmiać się, pośpiewać i wspominać... Dziękując Władysławowi Kopysowskiemu i Adamowi Dziąsko za smakowity poczęstunek już dzisiaj deklarujemy udział w kolejnym radosnym i pogodnym wydarzeniu za...rok.

Więcej zdjęć na stronie internetowej Uczelni i Stowarzyszenia Absolwentów.

Henryk Nawara



Weterani Stowarzyszenia



Fot.: H. Sienkiewicz

Tegoroczna wspólna fotografia uczestników pikniku

Przedstawiciel Zarządu tam był



Stanisław Wysocki na tle swoich rzeźb w parku pałacowym w Pakoszowie

Dnia 14 czerwca 2014 roku w Pałacu Pakoszów koło Piechowic, miała miejsce prezentacja dorobku artystycznego Stanisława Wysockiego. Otwierając wystawę dr Maciej Łagiewski, dyrektor Muzeum Miejskiego we Wrocławiu, powiedział: „Wrocław, piękne stare miasto na Dolnym Śląsku, staje się znowu centrum Europy. Wyjątkowe życie kulturalne wszystkich dyscyplin artystycznych przyciąga coraz więcej znaczących artystów z Europy do unikalnej metropolii nad Odrą. Rzeźbiarz Stanisław Wysocki również czuje się we Wrocławiu jak w domu. Spacerując po mieście na każdym kroku można natknąć się na rzeźby artysty o pseudonimie STANWYS – takie jak: „Powodźnianka”, postać czarnoskórego wojownika, „Pły-

waczka”. Wysockiego inspiruje kobiece ciało, o którym mówi, że jest apoteozą życia, i które fascynuje swoją idealną formą. Artysta wykonuje swoje prace najpierw w glinie, a następnie w odlewach z brązu. Głównym elementem jego dzieł są ilustracje kobiecości we wszystkich formach, od miękkiej aż do ostrej, wyrazistej żeńskiej postaci”.

Pałac Pakoszów ukazał wiele rzeźb artysty na łakach dawnej Bielarni Hessa – fabryki Inu.

Byłam i podziwiałam.

Jadwiga Świętochowska

Zapowiedzi planowanych zjazdów

- Zjazd z okazji 50-tej rocznicy immatrykulacji rocznika 1968 odbędzie się w dniach 24 - 26 października 2014 r. we Wrocławiu.

1. ZAPROSZENIE NA 35-LECIE - ABSOLWENCI ROCZNIKA 1975-1979.
2. Miejsce imprezy: OLEJNICA.
3. Koszt uczestnictwa: 280 PLN od osoby (w tym cały pobyt z wyżywieniem, a także bal i ognisko).
4. Wpłaty proszę dokonywać na konto: Mirosław Janik, ul. Licealna 8, 55-231 Jelcz-Laskowice, ING BANK ŚLĄSKI 14105015751000002278324435.
5. Przy wpłacie proszę podać imię i nazwisko oraz telefon kontaktowy.
6. Z powodów organizacyjnych proszę o potwierdzenie udziału i wpłaty do końca czerwca 2014.
7. Na spotkanie zaprasza komitet organizacyjny w składzie: Mirosław Janik (601701390, 0173181357, e-mail: janik1302@gmail.com), Bożena Wolna (602129778).
8. Uczestników proszę o zabranie ze sobą archiwalnych zdjęć z okresu studiów w wersji cyfrowej. Jeszcze lepiej przesłać wcześniej zdjęcia na mój adres janik1302@gmail.com.
9. PROGRAM ZJAZDU:
 - 26.09.2014: od rana do 20:00 - zakwaterowanie; 20:00-4:00 - uroczysta kolacja z balem przy muzyce live,
 - 27.09.2014: rano - śniadanie, po południu - obiad i zajęcia rekreacyjne, wieczorem - biesiada przy ognisku na przystani,
 - 28.09.2014: po śniadaniu - pożegnania i powroty.
10. POZOSTAJEMY Z SERDECZNYMI POZDROWIENIAMI - KOMITET ORGANIZACYJNY.

- 50-lecie ukończenia studiów rocznika 1960 - 1964 - Wrocław, Rudawa (Ośrodek Wypoczynkowy Orlica), 12-14 września 2014.

Zjazdy rocznikowe

Powrót do źródeł po 60 latach od ukończenia studiów

Pod tym hasłem spotkało się na Uczelni w dniach 16-17 maja 2014 r. 20 absolwentów (średnia wieku 82 lata) plus gość honorowy - nasz nauczyciel dr Adam Haleczko. Zaczęło się od zwiedzenia Centrum Historii Uczelni, gdzie doszło do wymiany informacji o początkach Uczelni. Przewodniczący Senackiej Komisji Historii AWF prof. Lesław Kulmatycki wymienił swoje książkowe informacje z absolwentami, którzy fakty historyczne z tamtych lat znają z autopsji.

Po tym zaczęło się zwiedzanie obiektów Uczelni. Fizjoterapię zaprezentowała Dziekan prof. Ewa Demczuk-Włodarczyk, następnie wstąpili wszyscy do sali im. prof. Ewarysta Jaskólskiego, kolegi tegoż rocznika. Przy tej okazji dr Kazimierz Kurzawski uraczył zebranych wiadomościami o absolwentach wybitnych sportowcach i trenerach. Niektórzy uczestnicy zjazdu doświadczyli małą próbę sprawności chodu i skoku (rekord 29 cm wyskoku pionowego w kategorii wiekowej 80+ lub 14 cm w tej samej kategorii wiekowej, ale z dwoma endoprotezami!).

Bardzo zainteresowała uczestników Zjazdu i zrobiła duże wrażenie prezentacja o rozwoju Uczelni przygotowana przez prof. Ryszarda Bartoszewicza. To było imponujące. Oczywiście nie obyło się też bez wizyty w siedzibie Stowarzyszenia Absolwentów. Na spotkaniach wieczornych przypomniano piosenki z tamtych czasów (Czarna Natasza Ahoj, sentymentalne, jak: Czy to w dzień czy o zachodzie... i inne). Podobno następne spotkanie za pół roku... czas upływa.

*Prof. dr hab. Tadeusz Bober
Rocznik 1954*

Zjazd trzech roczników – Pobierowo, maj 2014 r.

Na kolejnych spotkaniach jest nas coraz mniej! Ubywa nas. Jedni odeszli od nas na zawsze, inni nie mogą przyjechać z przyczyn zdrowotnych lub rodzinnych. Jednak dzięki łączeniu się sąsiadujących roczników ogólna liczba uczestników zjazdów pozostaje na niezmiennym poziomie.

W tym roku do naszych (56 i 58) dołączył rocznik 1959. W Pobierowie zebrało się nas 40 osób wraz z rodzinami, plus dwa sympatyczne pieski Bogdana Ostapowicza. Niektórzy mieli trudności z dojazdem do Pobierowa – wiadomo, przed sezonem brak dogodnych połączeń, ale wuefiacy są w

stanie pokonać wszystkie trudności. Potrafią przejechać Polskę z południa na północ, by spotkać się z przyjaciółmi i powspominać dawne czasy, a przy okazji zobaczyć, jak zmieniły się miasta i miasteczka od czasów młodości.

W dniu przyjazdu w poniedziałek, było ciepło i słonecznie. Wieczorkiem, po kolacji, Dyrekcja pensjonatu przygotowała ognisko. Było piwko, bardzo dobre kiełbaski z grilla, orkiestra grała stare i nowe przeboje, można było potać się. Mnie osobiście brakowało naszych wuefiackich śpiewów przy płonącym ognisku.

W następnym dniu pogoda splotała nam psikusa. Było zimno i wietrznie – na morzu SZTORM. Miejscowi mówili, że wiało z siłą około 9 stopni w skali Beauforta; na szczęście nie padało. Dzięki komfortowym warunkom można było „Go” przeżyć. Miłośnicy brydża mogli spokojnie oddać się swojej pasji. Stasio Paszkowski, przy przywiezionej gitarze i całej „mechanicznej orkiestrze”, skupił wokół siebie miłośników śpiewu. Jeszcze inni oddawali się wspomnieniom, wspomnieniom...

Nadszedł kolejny dzień, dalej wieje... , a my mamy w planie wycieczkę do Kołobrzegu i do Ogrodów Tematycznych Hortulus w Dobrzycy. Na szczęście w autokarze ciepło. Niestety, gorzej było w Kołobrzegu, zwłaszcza przy pomniku „Zaślubin Polski z Morzem”. Zwiewający piasek z plaży mieliśmy nie tylko w butach, ale dosłownie wszędzie. Potem zwiedzaliśmy Nową Starówkę i Bazylikę konkatedralną Wniebowzięcia NMP, gotycką świątynię wybudowaną w XIV w. Katedra zniszczona w czasie działań wojennych wiosną 1945 roku, została pięknie odbudowana z wierną rekonstrukcją budynku kościoła i jego wyposażenia.

Kołobrzeg pod koniec II wojny światowej był twierdzą wojsk niemieckich. Ciężkie walki nad Parsętą (opiewane w piosence) spowodowały zniszczenie miasta w 90 procentach. Obecnie jest to piękne miasto, całkowicie odbudowane.

W drodze do Dobrzycy zastanawialiśmy się co to znaczy „ogrody tematyczne”. Wiadomo, że są ogrody chińskie, angielskie, czy francuskie. Ale jak wygląda ogród niebieski, biały, zapachowy, czy ognia (czerwonopomarańczowy)? Ogrody w Dobrzycy zaskoczyły nas swoją urodą. Nie da się wszystkiego opisać, trzeba to zobaczyć.

Z ogrodów wróciliśmy do Pobierowa. Trochę zmarznięci, ale zadowoleni z tego, co zobaczyliśmy i dowiedzieli od naszego sympatycznego pana przewodnika. Krótki relaks przed uroczystą kolacją z tańcami był bardzo potrzebny. Dobra orkiestra, dużo miejsca na parkiecie pozwoliły wszystkim wytańczyć się do woli. Już nie do rana, jak to kiedyś bywało, ale jak na nasze serduszka i nogi wystarczająco!

We czwartek przestało wiać, pokazało się nawet słońeczko, można było

wybrać się na spacer po plaży i nawdychać się jodu ile dusza zapagnie, a właściwie, ile nam się spodoba. Jeszcze obiad, kolacja, msza w kościółku za nieobecnych i obecnych.

I jeszcze specjalne podziękowania dla Halinki Wolanin, dzięki której udało się zrealizować to spotkanie w Pobierowie. W dowód uznania i sympatii, koleżanki i koledzy przyznali Jej tytuł „Honorowego Absolwenta Roczника 58 AWF Wrocław”.

Pragnę wspomnieć, że główny organizator tego zjazdu śp. Tadzik Wolanin nieoczekiwanie odszedł od nas w styczniu br. Był to dla nas wszystkich wielki żal i szok. Tadzik był jednym z najaktywniejszych uczestników dotychczasowych naszych spotkań. W ubiegłym roku, w Szklarskiej Porębie, sam zaproponował, że zorganizuje zjazd nad morzem w rejonie zachodniego wybrzeża i wybrał Pobierowo.

W piątek po śniadaniu przyszedł czas pożegnania, i do zobaczenia za rok! Tylko na razie nie wiemy, gdzie?

*Krystyna Welon
rocznik 1958*

Sylwetki

Jerzy Pietkiewicz

Jurek był człowiekiem bardzo wszechstronnym. Uprawiał kilka dyscyplin sportu. Jego pasją były jednak góry. Brał udział w wielu wyprawach w Tatry, Alpy i Himalaje. W roku 1977 wraz z Krzysztofem Wielickim (zdobywcą Korony Himalajów i Karakorum) i Aleksandrem Lwowem zdobył w Hindukuszu 7-tysięcznik Kohe Szachaur (7116 m n.p.m.).

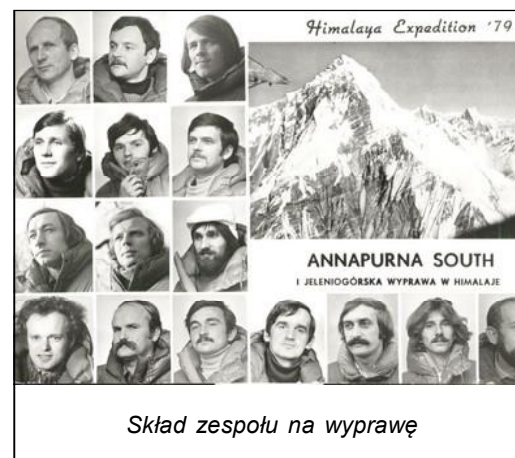
W książce znakomitego alpinisty i himalaisty, wrocławianina Aleksandra Lwowa opisującej to, co najlepsze w bogatej historii polskiego alpinizmu i himalaizmu, pt. „Zwyciężyć znaczy przeżyć 20 lat później” są fragmenty poświęcone naszemu absolwentowi Jerzemu Pietkiewiczowi (rocznik 1956). A oto krótki fragment książki A. Lwowa przedrukowany za zgodą Autora:

(...) Jurek „Piecka” Pietkiewicz zginął na północnych stokach Annapurny Południowej w Himalajach. Wyszedł z bazy razem z Julianem Ryznarem z zamiarem wejścia na szczyt i od tamtej pory ślad wszelki po nich zaginął. Będąc kierownikiem wyprawy, Jurek zabrał ze sobą w ścianę całą ekspedycyjną kasę, wskutek czego pozostali uczestnicy, z pełniącym później obowiązki kierownika Marianem „Maniusiem” Piekutowskim na czele, stanęli przed poważnymi problemami natury finansowej i zmuszeni byli do sprzedaży całego sprzętu, by móc w ogóle wrócić do kraju.

Pietkiewicz był ważną postacią jeleniogórskiego środowiska wspinaczkowego. W latach 1953-1956 studiował na wrocławskiej WSWF, a w tatrzańskich annałach zapisał się poprowadzeniem oryginalnej nowej drogi na Kazalnicy Mięguszowieckiej – trawersu ściany. Po prostu przeszedł

ją w poprzek, mniej więcej w połowie wysokości. Podobnie, ale w mniejszej skali, 40 lat wcześniej – 17 września 1932 roku – Motyka i Sawicki zrobili cały trawers południowej ściany Zamartej Turni. Jurka serdeczny przyjaciel Rysiek Kurenda z Opola, dzielący z nim przez dwa lata pokój w akademiku, wspominał:

„Piecka” był jednym z



najsprawniejszych studentów na naszej uczelni. Doskonale – zawodniczo – jeździł na nartach, był bardzo dobrym gimnastykiem, świetnie pływał i grał w kosza. W tamtych czasach, kilka lat po wojnie, sport był wśród braci studenckiej bardzo popularny, więc wiele czasu spędzaliśmy na obiektach sportowych.

Jurek był wymagającym współlokatorem. Jeśli któryś z nas nawalił

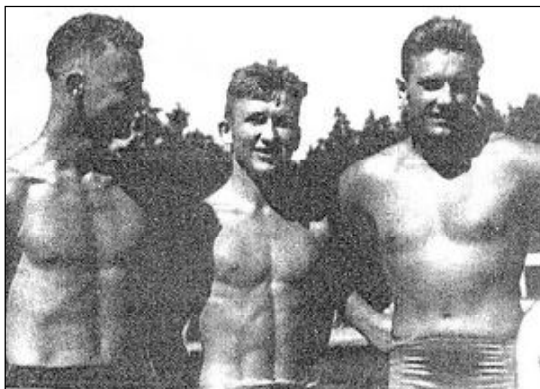
w jakiejś sprawie, to musiał liczyć się z ostrą reprimendą z jego strony. Jednakże już po 5 minutach złość mu przechodziła (...). Po studiach kosztem nart coraz więcej czasu poświęcał wspinaczce. Przez jakiś czas pracował jako trener narciarski w klubie „Świt” Jelenia Góra i pisał do mnie: „Ja udaję, że pracuję, a oni udają, że mi płacą. W latach późniejszych był nauczycielem wuefu i wizytatorem w Kuratorium Oświaty i Wychowania. (...)

Nie wiem, w czym tkwił jego sekret, ale Jurek miał zawsze powodzenie u kobiet. Pewną wskazówką może być tu toast, jaki na którejś z „prywatów” wygłosiła jedna z jej uczestniczek: „Niech nam żyje Jurek Piecka, co po stokach buja, chociaż wzrost jest miernego, wielkiego ma...” – ale w tym momencie dziewczyna spiekła raka i nie dowiedzieliśmy się, jakie miało być zakończenie.” (...)

*Ryszard Kurenda
rocznik 1956*

Nasi absolwenci, olimpijczycy...

Wiadomo ilu absolwentów ukończyło „Słoneczną uczelnię” we Wrocławiu. Właściwie wiadomo, że w ich gronie było lub jest wielu czynnych sportowców. Wiemy także ilu było tych, którzy startowali w igrzyskach olimpijskich. Kilku z nich pożegnało się z nami na zawsze. Z myślą o wszystkich, zaproponowałem redakcji, prezentację na łamach Biuletynu Absolwenta rubryki „Nasi absolwenci, olimpijczycy”, w której przedstawiać będę bogate



Ryszard Kurenda, Jerzy Pietkiewicz i rekordzista świata w pływaniu Marek Petrusiewicz - na pływalni olimpijskiej we Wrocławiu

w sukcesy ich biografie i czas po zakończeniu studiów i kariery sportowej.

Ponieważ Biuletyn jest miejscem właściwego przekazu, pragnę właśnie w ten sposób, za sprawą wywiadów z naszymi starszymi lub młodszymi koleżankami i kolegami olimpijczykami, wracać do lat chwały naszego sportu.

Ze względu na swoją długoletnią pracę w mediach i autorstwo kilku wydawnictw sportowych mam spory dostęp do wielu z nich. Kilku także przypadnie mi osobiście poznać. I z tego faktu już na starcie jestem zadowolony.

W sumie, bez względu na zajęte miejsce w igrzyskach, w myśl idei olimpijskiej w swoich oryginalnych założeniach („Nie zwycięstwo lecz udział...”) twórcy nowożytnego ruchu olimpijskiego - Pierre de Coubertina, będę cyklicznie przypominać lub poznawać ich skompensowane biografie i odpowiedzi na nurtujące często pytania.

Pierwszym, który debiutuje w tej rubryce jest bokserski mistrz Europy (1975 Katowice), olimpijczyk z Montrealu (1976) i absolwent uczelni (1984) - Andrzej Biegalski.

Andrzej Biegalski ur. 05.03.1953, Gierczyn



Andrzej Biegalski

Pięściarz. Absolwent AWF we Wrocławiu (1984, mgr wf., trener II kl.). Zawodnik (192 cm, 83-105 kg) Górnik Radlin (1973-74), Legii Warszawa (1975-76), GKS Jastrzębie (1977-83). Wychowanek Mariana Mruli. Trenerzy: Antoni Zygmunt, Wiktor Nowak. 3-krotny mistrz Polski: w wadze ciężkiej (1974, 1978), superciężkiej (1979). 2-krotny mistrz drużynowy: Legia Warszawa (1975), GKS Jastrzębie (1977). 8-krotny reprezentant Polski w meczach międzypaństwowych (1974-1976, 3 zw., 5 por.). Uczestnik ME (1975, 1979). W Katowicach (1975) wywalczył tytuł mistrza Europy w wadze ciężkiej. Uczestnik MŚ w Hawanie (1974, 5-8 m.). Zwycięzca turniejów: Złoty Pas Polusa (1972, 1973), Czarne Diamenty (1974), Gryfa Szczecińskiego (1976) - w kat. ciężkiej. 4-ty sportowiec kraju w plebiscycie Przeglądu

Sportowego (1975). Stoczył 237 walk (201 zw., 0 rem., 36 por.). Członek Klubu Olimpijczyka „Sokolnia” w Rybniku (2001). Trener sekcji bokserskiej Górnika Boguszwice i Mistrz Klub Bokserski Żory. W wyborach parlamentarnych był kandydatem Partii Centrum do Sejmu z okręgu rybnickiego (2005).

***Olimpijczyk 1976 Montreal:** waga ciężka - w I kolejce przegrał 0:5 z Johnym Tatem (USA), odpadł z turnieju. W turnieju zwyciężył Teofilo Stevenson (Kuba).

* * *

*** Jakie przedmioty uczelniiane sprawiły Tobie zadowolenie, a których nie darzyłeś sympatią ?**

Doceniałem wszystko. Nie było mowy o podziale. Przedmioty teoretyczne i sprawnościowe budowały naszą przyszłość. Ceniłem zajęcia oczywiście z boks, ale także i te z pływania, lekkoatletyki czy gier zespołowych. Chętnie uczyłem się anatomii, pedagogiki i psychologii. Z tego miejsca pozdrawiam naszego wykładowcę dr Edwarda Wlazło. To były bardzo pożyteczne zajęcia.



Andrzej Biegalski ze złotym medalem i pasem Mistrza Europy

*** W Katowicach podczas ME w boksie (1975) zdobyłeś mistrzowski tytuł.**

Jak zapamiętałeś swoje walki ?

Mistrzostwa odbywały się w katowickim „Spodku”. Byłem dobrze przygotowany. Wierzyłem w siebie. Walczyłem w wadze ciężkiej. W pierwszej walce pokonałem Petera Sommera (Czechosłowacja 5:0). W kolejnej znokoutowałem faworyta, Niemca Petera Hussinga. Walka trwała niecałe 100 sekund (1 runda). Potem przyszła kolej na następnego rywala Rumuna Mirceę. Wygrałem przez nokaut w 2

rundzie. W walce o złoto pokonałem obrońcę tytułu Rosjanina Wiktora Uljanicza 4:1. Zdoylem upragniony złoty krążek. Ciut wcześniej uczynił to w wadze lekkośredniej Wiesiek Rudkowski, który pokonał Wiktora

Sawczenkę (ZSRR).

*** Byłeś najlepszy w Europie i w kraju, jako przedstawiciel wagi ciężkiej pojechałeś na IO do Montrealu (1976), a tam ?**

Wystąpiłem oczywiście w wadze ciężkiej. Wiele sobie po tym starcie obiecywałem. Byłem przecież mistrzem Europy. Realia były inne. W pierwszej kolejce przegrałem 0:5 z J. Tate (USA) i odpadłem z konkurencji. Sprawiłem zawód sobie i innym.

*** Jesteś absolwentem, a także trenerem II-kasy w boksie. Jak układała się Twoja praca szkoleniowa ?**

To trudny rozdział w moim życiu. Wypadł on nie po mojej myśli. Na początku asystowałem u boku doświadczonego Anatola Jakimczuka w Górniku Boguszwice (1982-90). W ostatnim roku pracy nastąpiła zamiana. Ja trenowałem seniorów, a Jakimczuk juniorów. Wtedy wszystko się „zawaliło”. Potem była przerwa. Od 2006 prowadziłem szkołę bokserską w Żorach o nazwie „Mistrz Klub Bokserski Żory”. Niby było dobrze, ale i tu ze względów organizacyjno - finansowych w 2008 r. nastąpiło załamanie. Jestem tym wszystkim zniechęcony. Nie dopisało mi szczęście. Swoim kolegom w tym fachu życzę powodzenia.

*** Co myślisz patrząc z perspektywy lat na swoją przygodę z tą dyscypliną. Czy spełniłeś swoje sportowe i prywatne cele ?**

W sumie jestem z siebie zadowolony. Mistrzem Europy w wadze ciężkiej wcześniej w Polsce nikt nie był. Wygrałem kilka znaczących imprez. Mam żonę i dwoje dorosłych dzieci. Czego jeszcze chcieć. Może tego, że pomimo sześćdziesięciu lat mam ciągle ochotę na pracę w swojej dyscyplinie. Może się i to spełni ?

Jerzy Szczygielski



Andrzej Biegalski prezentuje swoje trofea jako trener

Wspomnień czar

Winna była ataksja !

W trakcie egzaminów wstępnych, a potem już podczas studiów miałem okazję poznać wiele ludzi, którzy w trakcie nauki i po zakończeniu edukacji, w taki czy inny sposób wpłynęli na moje dalsze prywatne i zawodowe poczynania.

Jednym z nich, którego poznałem jeszcze podczas „przedbiegów” tzn. podczas badań lekarskich (to był pierwszy egzamin przydatności do roli studenta) był prof. Bolesław Buła.



Prof. Bolesław Buła w pracowni

On to właśnie w tamtych czasach pełnił funkcję dyrektora Przychodni Sportowo Lekarskiej, która zlokalizowana była na Stadionie Olimpijskim.

Kolejny etap naszej znajomości przypadł na 3 rok studiów czyli na zajęcia z fizjologii. Wiadomo było, że każdy rok (nie ujmując nikomu) miał tzw. przedmioty decydujące, których

zdanie równało się z naszym „być albo nie być” studentem. I tak pierwszy rok to anatomia, fizyka, chemia i biologia. Drugi biomechanika. Z kolei trzeci to fizjologia, pedagogika i psychologia.

Po wykładach z fizjologii (prof. B. Buła) oraz ćwiczeniach (Z. Sutyło), a także zdobyciu zaliczenia, przyszedł czas na egzamin końcowy. Przez „szefa” zostałem przyjęty pozytywnie. Na zadane pytanie odpowiadałem bez zarzutu. A o końcowej nocy 4 lub 5 decydowało jedno słowo. Profesor Buła trzymając gruby długopis (coś w stylu Wałęsy, skąd go wtedy miał ?) zapytał mnie - jak nazywa się niezdolność ruchowa. Pamiętałem ten wykład na Witelona. Wtedy to na rysunku objaśniał jak to się nazywa. Z czym się to „je”. Przypominałem szczegóły wykładu (kwitowane słowami, ja pana pamiętam, że pan był), ale tego słowa nie pamiętałem ! Chyba z wrażenia zapomniałem. Czas oczekiwania na moją odpowiedź trwał. Wreszcie ku zadowoleniu i jednak małym niedosycie (a szczęście było tak blisko)

otrzymałem notę tylko i aż dobrą (4). Zadowolenie i złość. Byłem u celu aby otrzymać ocenę najlepszą. Ale nie przypomniałem sobie tej nieszczęsnej nazwy czyli – ataksji !!!

Byłem jednak i tak usatysfakcjonowany wszak wcześniej zdany egzamin z psychologii (nota 5, prof. Romuald Niewiakowski) i pomyślna „zdawka” pedagogiki (Stanisław Kaczmarek) pozwalały na dobre zaplanowanie wakacji.

Historia po ok. 30 latach zatoczyła koło. Chyba tak miało być. Pewnego majowego, późnego popołudnia w ogródku piwnym tuż obok Piwnicy Świdnickiej dostrzegłem siedzącego samotnie prof. B. Bułę. Pokrzepiał się oczywiście „małym jasnym”. Nakłoniłem więc żonę, aby zmienić plany i „zaczepić” byłego wykładowcę. Usłyszałem jednak „starą melodię” w stylu - to nie on, pomyliłeś się, nie zaczepiaj człowieka, uff!!! Nie byłbym jednak sobą, aby

wprawiony w zawódzie, gdzie trzeba było zaczepiać i dojść do celu (wywiad, korespondencja itp.) podszedłem do profesora. Krótkie zapytanie i błyskawiczne potwierdzenie okazało się trafieniem w przysłowiową „dychę”.

Po długiej i bardzo sympatycznej rozmowie, opowiedziałem w końcu o zdarzeniu egzaminacyjnym sprzed lat (jak wyżej). Po chwili zastanowienia padło pytanie - czy Pan teraz po latach pamięta to słowo ? Odpowiedziałem twierdząco wszak nieszczęśliwą ataksję, która pozbawiła mnie najlepszej noty zakodowałem na całe życie.

Prof. B. Buła ze spokojem, a zarazem z szelmowskim uśmiechem poprosił o indeks, którego oczywiście nie miałem. Bo i jak?! Chciał zmienić ocenę na 5. Pozostała więc nota dobra, ciąg dalszy sympatycznej wieczornej rozmowy i miłe wspomnienie tamtych lat.

Jestem przekonany, że nie tylko mój, ale i pozostałych absolwentów okres studiów to jeden z najpiękniejszych etapów naszego życia. Tu poznałem swoją przyszłą żonę. Uczelnię ukończył nasz syn. Z kolei wykazujący cięgoty



Prof. Bolesław Buła (czwarty od lewej) na opłatkowym spotkaniu władz Uczelni z seniorami w 2005 roku

sportowe ośmioletni Kuba jest potencjalnym kandydatem na kontynuowanie rodzinnych tradycji !

Jerzy Szczygieski
rocznik 1968

„Klan“ Ostapowiczów

„Słoneczną Uczelnię” we Wrocławiu ukończyły 4 osoby rodziny Ostapowiczów. Najstarszy syn Bogdan ur. 14 czerwca 1933 r., rok młodsza



Eugenia i Bogdan w ogrodzie przed wojną w Lesznie

córka Eugenia ur. 4 lipca 1934 r., dziesięć lat młodszy Włodzimierz ur. 25 lipca 1944 r. oraz synowa Genowefa później zwana Danką - żona Włodka, urodzona 18 grudnia 1943 r. Druga synowa Jadwiga - żona Bogdana ur. 28 lipca 1949 r. a piąta w rodzinie Ostapowiczów, ukończyła Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, gdzie uzyskała stopień doktora filozofii. Ojczulek nasz należał w Lesznie do Sokoła, gdzie poza gimnastyką rzucał oszczepem, pchał kulę i uprawiał tzw. cyklistykę (kolarstwo). Umiał też jeździć na łyżwach.

Imponował nam dzieciom, bo miał dyplomy sportowe i niektóre zdjęcia z Sokoła. W domu mieliśmy kilka kul, od bardzo lekkich do 7,25 włącznie.

Bogdan

Najwcześniej nauczyłem się jeździć na łyżwach. Pamiętam moje pierwsze łyżwy, które dostałem na Gwiazdkę od rodziców. Przytwierdzało się je do zimowych butów rzemykami i przykręcało do obcasów „niutką”. Zimową porą, kiedy stawy przy placu Kościuszki zamarzały, było to ulubione (i jedyne w Lesznie) miejsce spotkań zapalonych łyżwiarzy, którzy bawili się tu do późnego zmroku. Goniłwom i zabawom nie było końca. Można krótko powiedzieć, że wysłaliśmy z mlekiem matki kult do sportu. Będąc w gimnazjum grałem w piłkę nożną, ping-ponga i „cymbergaja”. Na

przydomowym podwórku regularnie pchaliśmy kulę. Kiedy po maturze dostałem się na moje pierwsze studia w Szczecinie (Wydział Mechaniczny) rzuciłem się w wir życia sportowego. Grałem dalej w ping-ponga, piłkę nożną i siatkówkę. Pamiętam, że na Politechnice w Szczecinie grałem w reprezentacji naszego Wydziału przeciwko Wyższej Szkole Ekonomicznej. Po drugiej

stronie siatki ścinał jakiś olbrzym. Był to Sosgórnik, późniejszy słynny miotacz. Cóż mogło zrobić takie „chuchro” jak ja, przeciw „Goliatowi”? Blokować go? Mógłby mi połamać palce ! Należałem też do studenckiego chóru - reprezentacyjnego sekstetu Politechniki.

Największym przeżyciem młodego człowieka, który wyrwał się w szeroki świat, był występ naszego chóru w Polskim Radiu. Robiłem wówczas wszystko, by tylko się nie uczyć. Ponieważ nie widziałem siebie w przyszłości w roli inżyniera mechanika, zrezygnowałem ze studiów i postanowiłem iść na wf. Wróciłem więc po jednym semestrze ze Szczecina do Leszna. Oczywiście, rodzice byli załamani! Siostra moja uprawiała w tym czasie gimnastykę. Jej dobre wyniki imponowały mi. Zapisalem się więc również do Unii i zacząłem z nią chodzić na treningi. Wkrótce też wystartowałem w III klasie na Mistrzostwach Polski w Poznaniu. Pamiętam z tego okresu, jak siwiutełki staruszek „dziadzio” Fazanowicz demonstrował nam układ ćwiczeń na poręczach. Od stycznia do czerwca przygotowywałem się do egzaminu wstępnego na WSWF w Poznaniu. W tym czasie pracowałem w Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Lipnie, a wieczorami chodziłem na treningi gimnastyki. Na początku lipca 1953 roku pojechałem na egzamin wstępny na WSWF do Poznania. Praktyczny zdawałem u byłego reprezentanta Polski i olimpijczyka-Stawczyka (startował na 200 m w Helsinkach). Moje oceny z egzaminu wstępnego: pisemny-bardzo dobry, biologia i egzamin praktyczny-dobry, fizyka-dostateczny, marksizm i leninizm-niedostateczny. Pytania tendencyjne: czy ksiądz może być materialistą, albo 4 prawa dialektyki. Mój ojciec, będąc kierownikiem



Po maturze przed gmachem gimnazjum, od prawej: sympatia gimnazjalna – Rysia, Bogdan, Genia, jej mąż Leszek i dwóch kolegów szkolnych.

radiowęzła podpadł w Komitecie Wojewódzkim partii. Zarzucono mu sabotaż, bo w czasie otwarcia lotniska szybowcowego w Lesznie, w czasie przemówienia marszałka Rokossowskiego ktoś poprzecinał kable. W ten sposób zamiast na studiach wf-u wylądowałem na jesieni w wojsku.

Jesienią 1953 roku wcielono mnie do wojska, do podoficerskiej szkoły radiotelegrafistów w Opolu. W wojsku poznałem śp. Bogdana Froma, z którym się zaprzyjaźniłem. Bogdan był bokserem. Na Mistrzostwach Dywizji w boksie, w finale wagi lekkiej, stoczył piękną, porywającą walkę z oficerem, który był dywizyjną „gwiazdą”. Cała hala ryczała i kibicowała za Bogdanem. Wszyscy chcieli aby dołożył oficerowi. Dwie rundy były całkowicie wyrównane. Dopiero w trzeciej Bogdanowi zabrakło kondycji. Nic dziwnego - przy takim wyżywieniu. „Fizruk” dywizyjny organizował gimnastykom wspólne treningi i obozy. Tam poznałem Dankę Perskiego, który przyszedł do wojska z II klasą sportową w gimnastyce, ja zaś miałem III. Dzięki Dankowi opuściłem wojsko z II, a Danek z I klasą. Po wojsku Danek też ukończył zaocznie naszą uczelnię. W drugim roku służby wojskowej kpt. Ryś, dowódca naszego batalionu, mianował mnie w stopniu kaprała na oficerskie stanowisko instruktora wychowania fizycznego naszej jednostki. Jako instruktor wf uczyłem oficerów elementów III kl. sportowej w gimnastyce, żołnierzy zaś ogólnorozwojówki. Grałem też w reprezentacji jednostki w koszykówkę. Kiedyś zgłosiłem się też do Mistrzostw Dywizji w pchnięciu kulą. Same wielkie chłopcy, i ja mały „Kajtek” między nimi. Jeden z nich mówi do mnie: „Chyba się pomyliłeś, bo sprinterzy startują później”. Ja nic, czekam na swoją kolejkę. Na tych mistrzostwach pchnąłem kulę na odległość 10,72 m. zajmując II miejsce. W gimnastyce zaś w kl. II na Dolnym Śląsku należałem do czołówki zdobywając dyplomy i medale.

Karierę wuefiaka zacząłem we **wrześniu 1955 roku**. W tym czasie zacząłem treningi w AZS-ie. Moim trenerem był mgr Kaczyński, późniejszy kierownik Zakładu Gimnastyki. Trenowałem solidnie 3 razy tygodniowo, przygotowując się do zawodów w klasie II. W tym czasie w II klasie startowali ze mną asystenci Zakładu Gimnastyki: Ryszard Jezierski, Stanisław Maksymowicz, Bronisław Parszywka oraz Czesław Świerczyński. Na Dolnym Śląsku należałem do czołówki II klasy, zdobywając dyplomy i medale. Pamiętam, jak ogromny zawód sprawiłem mgr Kaczyńskiemu, który przez cały rok „wkładał duszę”, aby przygotować mnie do startu w I klasie na Mistrzostwach Polski we Wrocławiu. W pierwszym dniu przebrnąłem jakoś przez 6 układów obowiązkowych. Magister pocieszał mnie mówiąc: „nie martw się, odbijesz to sobie jutro w układach dowolnych”. W tym czasie miałem sympatię w Świdnicy, która w sobotę przyjechała mnie odwiedzić. Po raz pierwszy w życiu broniłem się przed zalotami, mając na uwadze niedzielne zawody. Niestety, nic z tego nie wyszło. Noc była krótka i bardzo



Piramida czwórka: dolny –
Marian Golema, trzymający
stójkarza – Bogdan Ostapowicz

burzliwa. Na drugi dzień wystartowałem do zawodów „leciutki i świeżutki”. Moim ulubionym i najpewniejszym przyrządem był drążek, na którym kręciłem „olbrzymi”. Właśnie z tego drążka spadłem dwukrotnie. Nigdy mi się to później nie zdarzyło. Do dzisiaj mam wyrzuty sumienia w stosunku do trenera, którego zawiodłem na całej linii.

W roku 1957 wyjechałem do Zagrzebia na Gimnastradę (olimpiada gimnastyków i akrobatów). Czuliśmy się jak reprezentanci kraju, którzy co najmniej zdobyli jakieś medale. Na dresach napisy „Polska”, rozdawanie autografów, wspaniałe bankiety, piękne dziewczyny. Były to wielkie przeżycia! Do gimnastyki wciągnąłem Mariana Golemę. Na początku trener radził mu, aby zmienił dyscyplinę sportową, bo z niego nie będzie pociechy. Ale Marian był bardzo uparty i pracowity. Później wspólnie z nim i Marcinem

Lippą zaczęliśmy trenować piramidy trójkowe i czwórkowe, w których uzyskaliśmy klasę mistrzowską. Któregoś dnia ćwicząc na boisku przed halą ciężarów, mgr Leszek Makuch zaproponował nam abyśmy spróbowali wyciskanie ze sztangą. Trzymając pierwszy raz w życiu prawdziwą sztangę wycisnąłem 65 kg. Trener zaproponował mi treningi i starty w podnoszeniu ciężarów w wadze piórkowej. **Wkrótce zdobyłem na Akademickich Mistrzostwach Polski w Krakowie srebrny medal**. Będąc na tych mistrzostwach wybrałem się na zawody lekkoatletyczne. Na ławeczce siedzą skoczkowie wzwyż czekając na swoją kolejkę. Między innymi, najniższy z nich, o potężnej budowie, wyglądający na młociarza lub kulomiota - Rosjanin Kaszkarow. Startował wówczas Fabrykowski, który zakończył skoki wynikiem 2,07 m. O ile dobrze pamiętam był to nowy rekord Polski. A Kaszkarow zaczął skakać od 2,10 m i zakończył na 2,16 m. Nogi miał jak sprężyny! Startowałem też w 6-boju ciężarowym, w którym **w roku 1959** zdobyłem złoty medal i **Mistrzostwo Polski wagi piórkowej**. Andrzej Oczko, też nasz absolwent, był wtedy trzeci. Rok później Zieliński (brązowy medalista

olimpijski z Melbourne) wygrał 6-bój, a ja byłem trzeci. Moją naturalną wagą w ciężarach była waga piórkowa (poniżej 60 kg). Kiedy ważyłem 63,5 kg mgr Makuch wysłał mnie na Mistrzostwa Polski do Poznania w wadze lekkiej (do 67,5 kg), mówiąc abym wystartował tam treningowo. W tej samej wadze występował nie żyjący już Waldemar Baszanowski. Był on wielokrotnym rekordzistą świata, Mistrzem Świata i Mistrzem Olimpijskim. Wówczas obowiązywał jeszcze trójbój olimpijski. Po wyciskaniu byłem piąty (80 kg), po rwaniu dwunasty (77,5 kg), a po podrzucie (100 kg) siedemnasty, niestety ostatni. Oczywiście Mistrzostwo Polski zdobył Baszanowski. W tym czasie regularnie trenowałem 3 x w tygodniu ciężary (od 16.00 - 18.00), a od 18.00 do późnego wieczora akrobatykę.

Po zdobyciu drużynowego Mistrzostwa Polski w akrobatyce w WKS Śląsk pod wodzą mgr Wybieralskiego, przeszliśmy do BKS „Czarni” Wrocław. Ja byłem organizatorem sekcji i prowadzącym grupę dziewcząt, a Marian Golema chłopców. W międzyczasie uzyskałem stopień trenera II klasy. Treningi mieliśmy w „Zameczku”. Najpierw prowadziłem trening z dziewczynami, a później trenowałem sam z chłopakami przygotowując się do startu w dwójkach męskich i piramidach. Miałem 35 lat kiedy ostatni raz startowałem na Mistrzostwach Polski w piramidach klasy mistrzowskiej, gdzie zajęliśmy III m. Później zajmowałem się tylko trenerką, równocześnie przez jakiś czas pełniąc funkcję sekretarza BKS „Czarni”.

W tym czasie zostałem wybrany na Przewodniczącego Kolegium Sędziów w PZAS w Warszawie. W związku z tą funkcją wyjeżdżałem sędziować międzynarodowe zawody akrobatyczne do DDR, do Bułgarii, na Węgry i do Moskwy. Po ukończeniu Akademii Medycznej musiałem opuścić mój ukochany Wrocław. Natychmiast założyłem sekcję akrobatyczną w Liceum Ogólnokształcącym w Lesznie. Po roku moi zawodnicy zaczęli odnosić sukcesy w klasie III a później II. W mojej karierze sportowej w Polsce byłem gimnastykiem (I klasa sportowa), ciężarowcem (niewiele brakowało mi do uzyskania klasy mistrzowskiej), akrobatą (klasa mistrzowska), koszykarzem (w wojsku grałem w reprezentacji naszej jednostki jako rozgrywający) oraz szczypiornistą, grającym przez kilka minut w I lidze AZS Wrocław. A było to tak: trenowaliśmy akrobatykę i ciężary na boisku. Nagle wpada mgr Naglak mówiąc: „Bogdan, przebierz się szybko i wychodź na boisko bo brakuje mi jednego zawodnika. Mamy bardzo ważny mecz. Jak przyjedzie ten spóźnialski to cię wymienię”. Tak to grałem przez kilka minut w I lidze szczypiorniaka. Gdy przyjechał ten spóźnialski AZS wygrał cały mecz.

Rok 1973. Kiedy wyjechaliśmy z Włodkiem do Niemiec zaczęliśmy grać w tenisa. Na początku bez trenera i bez techniki graliśmy tylko na punkty, co wyglądało bardzo żałośnie. Dopiero kiedy jeden sezon zimowy w hali poświęciliśmy na poprawę techniki zaczęliśmy grać poprawnie. W Singen,

gdzie zamieszkaliśmy na stałe, zapisaliśmy się do klubu tenisowego, i braliśmy udział w różnych lokalnych turniejach tenisowych. Szczególnie dobrze byliśmy zgrani w deblu, w którym odnosiliśmy sukcesy reprezentując Tenis Klub Singen.

Poza tenisem latem uprawialiśmy jazdę na nartach wodnych. Kupiłem dość dużą motorówkę z 90-konnym silnikiem Johnsona, którą pływałem po Jeziorze Bodeńskim. Wkrótce opanowaliśmy tak dobrze jazdę na nartach wodnych, że zaczęliśmy na „mono” różne akrobacje, jak skoki na falach, slalom czy jazdę parami. W zimie zaś coraz częściej wybierałem się na narty do Szwajcarii. W latach prosperity kupiłem sobie w Weggis (145 km od Singen) działkę budowlaną (1000 metrów kwadratowych) z widokiem na Jezioro Czterech Kantonów i szczyty Alp pokrytych wiecznym śniegiem. Wybudowałem piękny dom „weekendowy” w stylu góralskim (bale z fińskiej sosny). Starłem się od piątku wieczora do niedzieli przebywać w górach. W niedalekim sąsiedztwie miała swoją posiadłość sławna aktorka Gina Lollobrigida, której niestety nigdy nie spotkałem.

Na szczyt Rigi można było wjeżdżać kolejką zębatą lub kolejką linową, do których z mojego „Chaletu” miałem 3 minuty drogi samochodem. Tam, na stokach Rigi, próbowałem nauczyć się zjeżdżać slalomem. Ale szło mi to bardzo opornie. Zawsze denerwowało mnie to, że ja, absolwent sportowej uczelni nie potrafię ładnie jeździć na nartach. Zaprosiłem więc dra Kaczyńskiego do Szwajcarii. Przez tydzień na stokach Alp „piłował” mnie, aby zrobić ze mnie, na stare lata, prawdziwego narciarza. Nigdy przedtem nie zjechałem ze stromego-czarnego stoku. W wieku 70 lat zjechałem 15 razy z bardzo stromego-czarnego stoku, ładnym slalomem (bez zatrzymywania się i bez upadku). I to tylko dzięki doktorowi Kaczyńskiemu. Stokrotne dzięki, Tolku!

W tym okresie zacząłem używać życia. Na lądzie stałym Afryki byłem 3 razy: w Senegal, w Tunezji oraz w Kenii na tzw. Foto-Safari, które udało się nadzwyczaj dobrze. Wynająłem awionetkę, którą obleciałem cały Park Narodowy Serengeti. Ładowaliśmy w oazach, gdzie czekały angielskie „Rover” z przewodnikami wyszukującymi stada zwierząt. Widziałem i fotografowałem lwy, żyrafy, małpy, hipopotamy, słonie, stada zebra, antylop, wodnych bawołów, nosorożców i różnych ptaków oraz zwierząt jakich dotąd nie znałem. Nie udało mi się spotkać leopardów, które są bardzo płochliwe. Sfotografowałem za to moją wakacyjną towarzyszkę podróży (Mulatkę), tak jak ją Pan Bóg stworzył. Kiedy mieszkalem 7 lat w Stanach Zjednoczonych zwiedziłem Kanadę i Wyspy Bahama. Przedtem zaś Grecję, Wyspy Kanaryjskie, Islandię, Szwecję, Rodos, Maltę, Wyspy Azorskie i całą zachodnią Europę. Kiedyś, na urlopie w Hiszpanii, spróbowałem windsurfingu. Nikt mi nie wyjaśnił ani nie pokazał zasad pływania. Pamiętam,

że pierwszego dnia wpadłem chyba kilkaset razy do wody, zanim popłynąłem. Później, kiedy już dobrze nauczyłem się halsowania, wybrałem się na 2 tygodnie do Tunezji, gdzie hulałem na falach Morza Śródziemnego.

W Singen, tuż przy granicy szwajcarskiej, miałem dużą praktykę dentystyczną, w której poza podstawowymi zabiegami dentystycznymi, leczeniem zachowawczym i chirurgią, leczyłem też dzieci z wadami zgryzu. Ortodoncji nauczyłem się, kiedy pracowałem przez 2 lata jako asystent w praktyce Marbach am Neckar (koło Stuttgartu). W tym czasie ortodoncja niemiecka opierała się na leczeniu wad zgryzu przy pomocy tzw. płytek Schwarza, które dzieci musiały kilka godzin dziennie nosić i całą noc z nimi spać. I to przez wiele lat. Dzieci niechętnie te płytki nosiły, dlatego wyniki leczenia zgryzu były bardzo nie zadawalające. Kiedy Amerykanie zaczęli w Niemczech robić kursy z aparatami stałymi, zgłosiłem się na nie jako jeden z pierwszych. Przypominam sobie takie zdarzenie. Siedziała obok mnie pani prof. - Kierownik Zakładu Ortodoncji w Tübingen. W pewnym momencie zwróciła się do mnie z zapytaniem: „panie kolego, jak pan lutuje te pierścienie?” Jako jeden z nielicznych lekarzy dentystów bez tytułu specjalisty w ortodoncji, przeleczyłem 350 dzieci i dorosłych przy pomocy amerykańskiej metody aparatami stałymi. W związku z tym zostałem przyjęty do Europejskiego Towarzystwa Ortodontycznego z siedzibą w Londynie. Brałem udział w wielu Kongresach Ortodontycznych między innymi w Rzymie, Barcelonie, Paryżu, Londynie i Kolonii, gdzie spotkałem mojego profesora, kierownika Zakładu Ortodoncji Akademii Medycznej we Wrocławiu. Prof. Masztalerz przyjechał na Kongres, aby zapoznać się z nową metodą amerykańską.

Do Ameryki planowałem wyjazd od dawna. Chciałem tam zrobić 2-3 letnie studia z ortodoncji dla stomatologów z doktoratem oraz przy okazji podszkolić się w języku angielskim. Kiedy to nie wyszło, bo czesne było bardzo drogie i kilkuletni czas oczekiwania na miejsce w University California w Los Angeles, zrezygnowałem ze studiów. Dodatkową przyczyną było też to, że byłem „spłukany” przez ruletkę. Zacząłem więc intensywniej grać w tenisa. Uzyskałem też w tej dyscyplinie wszystkie stopnie trenerskie, od instruktora do trenera I klasy tzw. „Profesjonal 1”. Jadzia, moja żona, była też moją uczennicą. Po skończeniu Uniwersytetu Jagiellońskiego została pracownikiem naukowym uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych. Kiedy na pierwszym w jej życiu treningu tenisowym próbowałem ją czegoś nauczyć, westchnąłem tylko: „Boże, co za antytalent sportowy!” Całe życie była „molem książkowym!” Po trzecim treningu zmieniłem o niej zdanie. Później w Los Angeles, braliśmy udział z Jadzią w różnych lokalnych turniejach tenisowych zdobywając różne medale, puchary i statuetki. Jako trener prowadziłem dość dużą grupę dzieci i dorosłych. W lecie, dla ubogich

dzieci, które nie wyjechały na kolonie letnie prowadziliśmy z Jadzią półkolonie tenisowe, na kortach w parku należącym do gminy San Valley, gdzie mieszkaliśmy. Miałem wśród moich uczniów bardzo zdolnego 12-letniego chłopca z Tajlandii. Pojechałem z nim na turniej dziecięcy, gdzie spotkałem Richarda Williama, ojca Sereny i Venus, które wówczas też jako szczupłutkie podlotki brały udział w tym turnieju. Patrząc na te chude „patyczki” trudno było przewidzieć, że kiedyś będą najlepszymi tenisistkami świata. Nie wszyscy wiedzą, że niedaleko Los Angeles jest pasmo gór z najwyższym szczytem „Big Bear”, na którego stokach jeździliśmy na nartach. Sezon narciarski trwał tam bardzo krótko ze względu na ciepło. W związku z tym niektóre panie jeździły na śniegu w stroju „toples”.

Kiedy zaczęło nam się finansowo lepiej powodzić kupiliśmy sobie na Hawajach apartament w tzw. systemie „time share”. Na Hawajach na wyspie Kauai (Wyspa Ogrodów), byłem trzykrotnie. Próbowaliśmy tam pływać na desce surfingowej. Prawdę mówiąc nie udało mi się dalej popłynąć niż kilka metrów, po czym zaraz wpadałem do wody. Wyspy Hawajskie należą do najpiękniejszych na świecie. Wyspy te, to szczyty kilkukilometrowych gór podwodnych wystających nad poziomem oceanu. Największa wyspa Hawajów, ma ciągle jeszcze aktywny wulkan, z którego co jakiś czas wylewa się ognista lava. Góry, wysokości około 4000, metrów pokryte są do samego szczytu przepiękną zielenią, poprzecinaną biało-srebrzystymi wstęgami wodospadów. W Europie na wysokości 2000 metrów mamy gołe skały, a tam soczysta zieleń. Wody oceanu krystalicznie czyste i tak ciepłe, że pozwalały mi na kilkugodzinne przebywanie w wodzie. Kiedy uzyskałem patent amerykański na wieloczynnościowy stojaczek do książek i nut, spełniający także funkcje trzymacza brudnopisów do pisania na maszynie i komputerze, wziąłem się na dobre za biznes.

Nasz „**Klip-Klap**” (nazwę wymyśliła Jadzia) był produkowany i rozprowadzany przez naszą firmę zarejestrowaną w Ratuszu L.A. jako „**BOSTAP CO**”, **B** – jak Bogdan, **T** – jak Tomasz, mój syn, który też miał swój udział w wynalazku i **CO** – jak Company. Koszt form i produkcja „Klip-Klapów” wynosiła około 50.000 dolarów. Po kilku latach, po sprzedaży ok. 12 000 egzemplarzy po 5 dolarów za sztukę, pieniądze się nam zwróciły.

Niestety, te zarobione pieniądze przejedliśmy. Na szczęście Jadzia dostała samodzielną pracę menadżera 95 apartamentów, w których to otrzymaliśmy darmowe mieszkanie. Nasz produkt sprzedawaliśmy przede wszystkim w księgarniach i „bookstorach”, najczęściej zlokalizowanych przy uczelniach. Dzięki temu jeżdżąc z „Klip-Klapami” poznaliśmy Kalifornię wzdłuż i szerz. Od San Francisco do San Diego. Od Los Angeles do Las Vegas. Byliśmy w parkach narodowych: Simi Valley, gdzie biegają żyjąc dziko na wolności niedźwiedzie, a sekwoje dożywają do 2400 lat, mają twardą jak granit korę,

przeto ogień się ich nie ima. Poza tym Yosemite Valley, Lake Tahoe leżące na wysokości ponad 2000 metrów nad poziomem morza i wielu innych, których nazw nie pamiętam. Zwiedzaliśmy wielokrotnie DISNEY WORLD, DISNEY LAND, LAS VEGAS i GRAND CANION - ten cud natury. Jest to wcięta dolina leżąca w Kordylierach z ciągnącą się w dole rzeką Kolorado. Głębokość kanionu miejscami dochodzi do 1800 metrów. Lecąc wynajętą awionetką, widzieliśmy dwie pionowe ściany, które w zależności od pory dnia i naświetlania słonecznego zmieniają kolory. Wschód słońca, który kiedyś oglądaliśmy z Tomkiem o 6-tej rano, jest zjawiskiem nie do opisanie.

To trzeba zobaczyć! Przeżyliśmy też trzęsienie ziemi o sile 6-ciu stopni w skali Richtera. Którejś nocy obudziło nas około 3.00 nad ranem skrzypienie belek. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że lampa się kołysze, telewizor podskakuje, a sufit „faluje”. Krzyknąłem: Uciekajmy! W ciągu kilkunastu sekund byliśmy na ulicy. A tam mrowie przestraszonych ludzi. Dzięki alarmom, które ćwiczy się tu często, ludzie tak jak stoją, wybiegają błyskawicznie na ulice. Wygląda to komicznie, kiedy nagle w środku nocy, widzi się na ulicy tłum na wpół odzianych „golasów”. Na świecie bywa około 120 trzęsień ziemi o sile 6-7 stopni w skali Richtera. W Kalifornii rocznie odnotowuje się ok. 10 000, z tym, że większość nie jest odczuwalna przez ludzi.

Ponieważ Niemcy nie mają z USA umowy o wzajemnej wymianie i zatwierdzaniu rent i emerytur, (przeto nie zaliczono by nam czasu pracy w Polsce i w Niemczech), podjęliśmy decyzję powrotu do Niemiec. Trasę z Los Angeles do Nowego Jorku pokonaliśmy naszą Toyotą-Tercel w ciągu kilku tygodni. Tam, gdzie była atrakcyjna okolica lub ciekawe miejsca do zwiedzania, zostawialiśmy 2-3 dni. W ten sposób jeszcze po raz ostatni odwiedziliśmy Las Vegas i Grand Canion. Zwiedziliśmy też Mesa Verde w Stanie Colorado, gdzie Indianie w XIII wieku wybudowali całe miasteczko w wysoko położonej, olbrzymiej jaskini skalnej. W tamtych czasach miasteczko to było praktycznie nie do zdobycia. Ta „perłka” według UNESCO zaliczana jest do zabytków klasy zerowej. W naszej wędrowce zatrzymaliśmy się na kilka dni w Nowym Orleanie, położonym w delcie słynnej rzeki Mississipi (Luizjana). Do ciekawostek tego pięknego miasta należy olbrzymia hala sportowa, której kopuła ma wysokość ponad 85 m, a sama hala mieści ponad 85 000 widzów. Będąc w Nowym Orleanie należy obowiązkowo popłynąć statkiem po Mississipi, co też uczyniliśmy. Jadąc dalej, nad Zatoką Meksykańską dojechaliśmy do miasteczka Gulport, gdzie zwiedziliśmy pokazy delfinów. Pokazy te są fascynujące. Delfiny wyskakując z wody wykonują różne salta, przeskakują kilka metrów nad wodą przez obręcze, które trzyma treser lub pokonują poprzeczkę, jak w skoku wzwyż. Ciągną łódki z dziećmi lub odbijają na nosie piłkę. Jest to atrakcja dla młodych i starych! Będąc w San Petersburgu zwiedziliśmy tam przepiękny

ogród botaniczno-zoologiczny z roślinnością zwrotnikową i przeróżnymi ptakami. Atrakcją tego miasta jest też muzeum Salvadora Dali, mojego ulubionego hiszpańskiego malarza i grafika, słynnego z ekstrawagancji. Jego dzieła są zaskakująco piękne. Szczególnie bardzo interesujące, kiedy ogląda się je w oryginale.

Będąc na Florydzie zwiedziliśmy też oryginalną wioskę indiańską z farmą aligatorów. Na pamiątkę zrobiłem sobie zdjęcie z dwuletnim aligatorem, którego trzymam na rękach. „Zaliczyliśmy” też Park Narodowy „Everglades” - słynne bagna w południowej Florydzie, gdzie na wolności żyją aligatory, różne węże, żółwie, sępy i inne „stwory”, które mieliśmy możliwość oglądać z naszej łodzi. W Cape Canaveral zwiedziliśmy główny amerykański poligon rakietowy lotów kosmicznych. Widzieliśmy tu m.in. Apollo 11, który przy pomocy trójstopniowej rakiety Saturn V, wylądował po raz pierwszy z człowiekiem (Armstrong) na księżycu. Zwiedziliśmy tu też muzeum lotów kosmicznych. Z Miami Beach, które leży na stałym lądzie półwyspu Florydy, do Key West, leżącym na południowo-zachodnim cyplu łańcucha około 150 wysepek, połączonych ze sobą czasami bardzo długimi mostami, jest niecałe 200 km. Przeżycie jest ogromne, kiedy się jedzie samochodem po wąziutkiej autostradzie leżącej bądź na mostach lub na wyspach. W Key West wybudowano kolorowy okrągłak w kształcie beczki – symbol najbardziej na południe wysuniętego cypla Stanów Zjednoczonych. Tutaj wybudowano też „Little White House” (mały biały dom), letnią rezydencję prezydenta USA.

Widzieliśmy też dom w którym mieszkał w latach 1931-1940 Ernest Hemingway. Stworzył on tu większość swoich słynnych dzieł np. „Komu bije dzwon”, czy „Stary człowiek i morze”, za co otrzymał Nagrodę Nobla. Wracając z Key West do Miami Beach zatrzymaliśmy się na plaży, by wykąpać się w krystalicznie czystej i ciepłej wodzie. Widzieliśmy tu mnóstwo pelikanów walczących między sobą o ryby. Jadąc dalej na północ wjechaliśmy do stanu Georgia, gdzie zwiedziliśmy dobrze zachowany fort Pułaskiego oraz muzeum Pułaskiego, w którym wystawiono mnóstwo pamiątek po nim. Generał Kazimierz Pułaski, zwany ojcem kawalerii amerykańskiej, ma w USA wiele pomników. Amerykanie przyznali mu tytuł bohatera narodowego. W rocznicę śmierci wielkiego Polaka 11 października każdego roku, w Nowym Jorku odbywa się uroczysta defilada zwana Paradą Pułaskiego. W 6 stanach USA istnieją powiaty o nazwie „Pułaski County”, a 25 amerykańskich miast nazwano jego imieniem. W naszej podróży staraliśmy się zawsze szukać śladów polskości. Stolica USA wzięła nazwę od prezydenta Waszyngtona, którego pomnik w pozycji siedzącej w szerokim fotelu umieszczono w centralnym punkcie monumentu. Znajduje się tu także sławny pomnik polskiego bohatera narodowego Tadeusza Kościuszki na

koni. Umieszczono go w parku przed Białym Domem. Zwiedziliśmy też Muzeum Kościuszki oraz sławne obserwatorium astronomiczne, gdzie pod kopułą błyszczą czarne niebo z licznymi gwiazdami i planetami. Poczułem się bardzo dumny, słysząc głos spikera objaśniającego nieboskłon, że jednym z najsłynniejszych astronomów był Polak Mikołaj Kopernik. Z Waszyngtonu płatną autostradą i przez olbrzymi, wysoko wiszący most udaliśmy się w kierunku Nowego Jorku. Manhattan powitał nas w całej okazałości z istniejącymi jeszcze wtedy dwoma ponad 400-metrowymi wieżami „World Trade Center”. Zafundowałem sobie wjazd szybkobieżną windą na dach wieżowca. Widok niesamowity! Z góry świetnie było widać Statuę Wolności, jak również płynące stateczki na rzece Hudson. W czasie silnego wiatru, wierzchołki obu wież odchylały się kilka metrów od pionu. Odwiedziliśmy też Central Park. Jest tu wiele pomników, wśród których oglądaliśmy pomnik króla polskiego Władysława Jagiełły. Nowy Jork – miasto kolos. Centrum handlu, biznesu, kultury i nauki. Nowy Jork trudno sobie wyobrazić. Trzeba go zobaczyć! Aby to wszystko dokładnie zwiedzić trzeba tygodni a nawet miesięcy.

cdn.

Bogdan Ostapowicz

RĘCE DO GÓRY!

Od redakcji.

Poniżej prezentujemy artykuł Antoniego Kaczyńskiego, wieloletniego redaktora naszego Biuletynu, pt.: „Ręce do góry”, jedno z ostatnich opowiadań z obszerniejszego cyklu tegoż autora – „Rykoszety i bomby”, które zamierzamy w odcinkach publikować od następnego numeru na naszych łamach. Teksty te doskonale scharakteryzował śp. Rysiek Jezierski w posłowniu do wydanego zbioru opowieści:

„Bodaj byś żył w ciekawych czasach” – to stare chińskie porzekadło jest z tej samej serii, co i „Bodaj byś cudze dzieci uczył”. Autorowi tego zbiorku opowiadań przytrafiło się i jedno i drugie.

Taki tytuł opowiadania o zdarzeniu w 1954 roku? – „Ręce do góry”! Tak w czasie wojny, wrzeszczeli do mnie obcy żołdacy: - po litewsku, niemiecku i po rosyjsku. Ale teraz?! W ojczystym języku i prawie dziesięć lat po wojnie. A jednak to mi się wtedy przydarzyło.

W roku 1953, będąc studentem trzeciego roku wrocławskiej WSWF, a po studiach, młodszym asystentem w Zakładzie Gimnastyki, zamieszkałem w sublokatorskim pokoju na Zalesiu obok Parku Szczytnickiego, przy ulicy Karola Szymanowskiego. Jest to prawie nietknięta przez działania wojenne,

spokojna willowa dzielnica Wrocławia. Mieszkało mi się tam miło i przyjemnie. Na uczelnię miałem spacerkiem przez park kilkanaście minut. Mili gospodarze, niekrępujące wejście do pokoju na piętrze, używalność kuchni i umiarkowane komorne, oto bezsporne zalety mojej pierwszej wrocławskiej kawalerki. Dodatkowym jej walorem była bliskość popularnego kąpieliska „Morskie Oko”, gdzie w sezonie opalaliśmy się i żażywali kąpeli z moim sąsiadem zza ściany i kolegą z rocznika Zbyszkim N. Ten wyga - wychowanek Szkoły Jungów z racji małego wzrostu zwany na roczniku Pipkiem, znany był z oryginalnego poczucia humoru. Któregoś niedzielnego poranka zapukał do mego pokoju. Po moim - „Proszę”, w drzwiach ukazał się Pipek w stroju jak go Bozia stworzyła, ale z fantazyjnie zawiązaną na szyi muszką i flaszką piwa w ręce: „Przychodzę do sąsiada z kurtuazyjną wizytą” – wycedził, jak to on uroczyście. Nie wypadając z konwencji, zdjąłem piżamę, a na szyi wywiązałem sobie krawat. I tak na „de Gola” spędziliśmy wspólnie miły poranek na pogaduchach przy piwku. Ponieważ nasze pokoje oddzielone tylko cienką ścianą, w czasie wizyt u nas płci pięknej okazywały się mało dyskretne, przeto ustaliliśmy że zainteresowany, każdorazowo w takim przypadku, funduje singlowemu koledze bilet do kina. Czasami niestety przeciągało się to na kilka seansów. Ale jakoś sobie radziliśmy i żyli w zgodzie. Niekiedy też, urządzaliśmy w towarzystwie mieszanym wspólne balangi.

Dla naszych gospodarzy, przemiłych Lwowiaków, byliśmy chyba mało uciążliwymi lokatorami, bo na ogół całymi dniami przebywaliśmy poza domem. Jako młodzi asystenci mieliśmy mnóstwo zajęć na uczelni, bo w owym czasie gimnastyka była jednym z wiodących tzw. przedmiotów praktycznych. Dodatkowo ja, jako oficer rezerwy, prowadziłem zajęcia na Studium Wojskowym. Ponadto tańczyłem w zespole tanecznym pani Tatiany i trenowałem skoki do wody z trampoliny u dr Kłaptocza. Pipek także dorabiał gdzieś na boku do swojej mizernej asystenckiej pensji. Obiady jedliśmy zazwyczaj w sławetnej garkuchni „Pod świnkami”. Na śniadanie była przeważnie margarynka i chudy serek. Na kolację na zmianę - pasztetówka lub wątrobianka, bo mięso i wędliny były wtedy na kartki. I tak w kółko. Wieczory spędzaliśmy na treningach sekcji gimnastycznej AZS-u, albo na basenie, początkowo jako zawodnicy, a później trenerzy gimnastyki. W sumie był to w naszym życiu bardzo intensywny i wyczerpujący okres. Ale byliśmy wtedy młodzi, pełni entuzjazmu i zapału do pracy, choć czasy były nielekkie.

Kuchnię gospodarzy odwiedzaliśmy tylko dla przygotowania herbaty. Rządziej parzyliśmy także prawdziwą kawę, bo był to w owych czasach rarytas. Łazienkę okupowaliśmy zazwyczaj krótko, tylko na poranne i wieczorne ablucje, bo kąpiele braliśmy na uczelni lub na pływalni. Swoje pokoje sprzątaliśmy sami, ale bez przesady. W końcu jednak nagromadzone



Ręce do góry!

z czasem śmieci wypadało wynieść i tu dochodzimy do uzasadnienia tego nieco sensacyjnego tytułu tego opowiadania.

Owego feralnego dnia, udałem się z przepelnionym kubelkiem śmieci przed dom, celem jego opróżnienia. Niestety, stojącego nieopodal dużego pojemnika na odpadki tym razem nie było na swoim miejscu. Coś jednak z tym fantem trzeba było zrobić. Rozejrzałem się więc dokoła i widząc po drugiej stronie ulicy za niskim płotkiem, opuszczoną i zaniedbaną parcelę z resztkami murów jakiegoś domu, zdecydowałem się tam pozbyć się moich śmieci. Po przeskoczeniu ogrodzenia i opróżnieniu kubłka, usłyszałem niespodziewanie głośnie wołanie: - „Hej!!! Ty tam!”. Widocznie ktoś mnie zobaczył gdy forsowałem płotek i postanowił interweniować. Sytuacja stała się niezręczna. Oto zostanę przyłapany na dość kompromitującym uczynku zaśmiecania czyjegoś podwórka. Spanikowałem i dla zachowania twarzy, postanowiłem czym prędzej ulotnić się z tego miejsca. Porzuciłem więc kubełek i szparko pobiegłem w głąb porośniętej gęstymi krzewami posesji. Przeskakując po drodze jakieś płotki i forsując wysokie siatki działkowych ogródków, wciąż słyszałem odgłosy pogoni. Jakiś gość koniecznie chciał mnie dopaść - uświadamiałem sobie i uciekałem dalej. W końcu wszystko ucichło i będąc przekonany że faceta zgubiłem - rozpocząłem odwrót do domu. Nagle z za wysokiego krzewu któregoś ogródka, wyskoczył jakiś cywil głośnie krzycząc: - „Ręce do góry”!!! W rozdygotanej dłoni trzymał

wycelowany we mnie pistolet.

Widocznie dobrze znając okolicę, gość zaczął się i odciął mi odwrót. Żarty się skończyły. Posłusznie podniosłem ręce i próbowałem jakoś wyjaśnić okoliczności całego zajścia, ale on tylko warknął na mnie, że tłumaczyć się będę na komisariacie. Aha, więc to „głina” w cywilu - domyśliłem się. Gdy jednak w końcu powiedziałem mu, że jestem pracownikiem WSWF-u i mieszkam tu pod 42-ką, kazał mi opuścić ręce, lecz dalej nieufny - poprowadził z pistoletem w dłoni pod wskazany adres. Tam nasza gospodyni, nieco wystraszona i mocno przejęta moją niecodzienną przygodą, oczywiście potwierdziła, że dobrze mnie zna, bo jestem jej lokatorem, a całe wydarzenie to czysty przypadek. Uspokojony tym, jak się okazało mieszkający obok interweniujący milicjant, po udzieleniu surowego upomnienia – zaniechał wobec mnie „dalszych czynności służbowych” - jak powiedział. Zapytał przy tym, dlaczego z tak błahego powodu i narażając się na niebezpieczeństwo, panicznie przed nim uciekałem. On zaś będąc pewien, że ściga działkowego złodzieja, postanowił go za wszelką cenę ująć, co mu się zresztą udało. Z tym, że zamiast złodzieja złapał sąsiada. A broń zawsze ma przy sobie. Nie potrafiłem mu wytłumaczyć motywów swego postępowania.

Obecnie na wspomnianej, pięknie utrzymanej parceli przy ulicy Karola Szymanowskiego stoi luksusowa willa, a jej otoczenie mało dziś przypomina okolice opisywanego zdarzenia. Mój niezapomniany kolega Pipek oraz mili gospodarze spod 42 –ki dawno już odeszli. A mnie zostały wspomnienia.

Antoni Kaczyński

Pro memoria

Już po złożeniu poprzedniego biuletynu nadeszło jeszcze jedno wspomnienie o Ryszardzie.

Żegnaj Ryśku!

Odszedł od nas wspaniały kolega. Ośmielam się tak napisać, bo to On - przedstawiciel rocznika 1952-1955, organizował nasze spotkania. Olejnica, Świeradów, Szklarska Poręba, dwa razy nad Jeziorem Turawskim. Później, gdy nas było mniej, spotykaliśmy się w mniejszych gronach. Rysiek zawsze uczestniczył we wszystkich spotkaniach, zawsze wnosił sportowy zapał oraz dużo humoru i dowcipu. Towarzyszyła nam atmosfera jak przed laty, na wszystkich zajęciach na naszej „Słonecznej Uczelni”. Wtedy bywaliśmy głodni, czasami nie było gdzie spać, a jednak wciąż mieliśmy dużo pogody w sobie. Tak też było podczas przygotowań do pokazów gimnastycznych przed kierownictwem państwa (kilka razy we Wrocławiu i dwa razy w Sierakowie), gdzie krzyczeliśmy: „My mamy tego dość”. Rysiek dbał też o tych, których już nie było wśród nas. Przed paroma laty zajął się grobem naszej koleżanki Beni Maternowskiej.

Gdy w 1952 roku rozpoczynaliśmy studia w zniszczonym wtedy Wrocławiu, zakwaterowani byliśmy w jednym pokoju ze Zbyszkim Lipińskim. Rysiek imponował budową i siłą fizyczną, trochę bał się gier. Wzajemnie wspieraliśmy się udzielając praktycznych porad. Kilkakrotnie korzystałem z jego notatek, ale najwięcej z jego własnoręcznie sporządzonych hantli, które bardzo wzmacniały muskulaturę. W zamian za to Zbyszek zaprosił go do Szklarskiej Poręby, gdzie obok jazdy na nartach sporo czasu poświęcili rozmowom na różne tematy związane z działalnością przyszłych nauczycieli wychowania fizycznego. Już w czasie studiów Rysiek uczestniczył w zajęciach zespołu tanecznego, a po ukończeniu uczelni współpracował z zespołem pantomimy.

Po latach brał udział w opracowywanej przez Zbyszka „strategii sportów zimowych” dla szkół z terenów górskich, gdzie nie było dostatecznych warunków do realizowania programowych treści wychowania fizycznego. Rysiek nie tylko bardzo mocno zaangażował się w teoretyczne opracowanie strategii, ale też sam chętnie uczestniczył w jej realizacji. Do dziś nauczyciele wspominają ubranego w dres naukowca z AWF Wrocław, który praktycznie pokazywał ćwiczenia usprawniające, możliwe do realizacji w każdych warunkach. Zawsze przyjeżdżał z opracowanymi i już powielanymi materiałami. Jeszcze w listopadzie 2012 roku, na zaproszenie Zbyszka przyjechał do Jeleniej Góry, gdzie odbył kilka kolejnych konferencji

metodycznych dla nauczycieli realizujących program pod nazwą „Sprawny Dolnoślązaczek”. Program ten współrealizował z Adamem Szymańskim ze Szkolnego Związku Sportowego. Młodzi nauczyciele wyrażali prawdziwe zadowolenie i uznanie ze spotkania z tak wybitnym praktykiem wychowania fizycznego.

Jakże nam będzie brakowało jego dowcipu i kawałów! Jak to się stało, że człowiek, który nigdy nie chorował, który brał udział w corocznych wyprawach na narty w Alpy, pływał po morzu oraz po jeziorach w okolicach Olejnicy, tak potrzebny kolegom, odszedł i już go nie ma!

Jest to tragedia dla całej jego rodziny i dla nas także.

Józef Sachnik i Zbigniew Lipiński

Wspomnienie o Jurku Pielu



Jerzy Piel

Jurek Piel (01. 03 1936 – 05. 02 2014) prawie całe powojenne życie związał ze swoim ukochanym miastem – Wrocławiem. Tutaj rozpoczął edukację, którą w 1956 roku ukończył na Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego. W tym czasie uprawiał sport wyczynowy grając w koszykówkę w ligowym klubie „Gwardia” Wrocław. W jednym z licznych w tym czasie klubów wrocławskich trenował pływanie. Był później aktywnym działaczem sportowym w ligowej sekcji siatkówki żeńskiej „Gwardii” Wrocław. Siatkówka była zawsze w centrum jego zainteresowań.

Jurek był współorganizatorem pierwszego zjazdu absolwentów AWF rocznik 1956. Aktywnie uczestniczył też w następnych 21 zjazdach. Był też członkiem Zarządu Stowarzyszenia

Absolwentów AWF we Wrocławiu.

Znaliśmy Jurka jako dobrego i uczynnego kolegę. Miał duże, otwarte i wrażliwe serce dla innych.

Dobre wspomnienia o nim będą nam towarzyszyć ciągle.

Przyjaciele Jurka

O trzech Bożenach

Czas mija nieubłagane. To co było kiedyś kryje się we mgle moich wspomnień, czasami tak gęstej, że trudno dostrzec mi wyraźnie szczegóły zdarzeń czy sytuacji. Są jednak takie chwile mojego życia, które pamiętam bardzo dokładnie, tak jakby wydarzyły się wczoraj. Rok 1976 zapadł w mojej pamięci z dwóch powodów. Po pierwsze w tym roku, ku radości własnej i moich rodziców zdałem maturę, a po drugie, dzięki szczęśliwemu, jak to się okazało po latach, zbiegowi okoliczności rozpocząłem studia w Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu.

Czasami zastanawiam się, czy wszystko jest dziełem przypadku, czy też z góry zostało przez kogoś zaplanowane. Nie mam na to żadnych naukowych dowodów i pewnie nigdy ich nie zdobędę, ale coraz bardziej wierzę, że wszystko w moim życiu stało się po coś, chociaż nie zawsze na początku dostrzegałem cel bądź sens tych zdarzeń. Tak na przykład było z moimi studiami. Ojciec chciał, żebym tak jak on, został inżynierem projektantem. Matka widziała mnie w roli architekta, a ja marzyłem o życiu artysty plastyka. Gdyby udało się mi zrealizować plan mojej młodości, to zapewne nigdy nie poznałbym Pani dr Bożeny Sekity. Ktoś jednak chyba czuł nade mną, bo gdy załamany nieudaną próbą dostania się do Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu zastanawiałem się co dalej robić ze swoim życiem, spotkałem kolegę z liceum, który namówił mnie do zdawania egzaminów do Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu. Ten pomysł przypadł mi od razu do gustu, bo studia w Akademii kojarzyły się mi z jedną wielką lekcją wychowania fizycznego, czyli tym co obok rysowania i malowania lubiłem w tamtym okresie najbardziej. Pierwszy semestr szybko zweryfikował moje wyobrażenia o nauce w Akademii. Takie przedmioty jak, Anatomia, Historia Wychowania Fizycznego i Biochemia szybko uświadomiły mi, że mój pobyt na uczelni nie będzie polegał wyłącznie na oddawaniu się hedonizmowi ruchowemu. Szybko zauważyłem, że więcej czasu spędzam w bibliotece niż w sali sportowej i na boisku. Ze smutkiem odkryłem również, że nawet zajęcia, które w nazwie niosły nadzieję na ruch i grę – Zespołowe Gry Sportowe – realizowane były w dużej części w formie wykładów teoretycznych, które wtedy traktowane były przeze mnie jako bezsensowna strata czasu. Później dowiedziałem się, że byliśmy eksperymentalnym rocznikiem, który na własnej skórze doświadczał czyichś, chyba nie do końca przemyślanych, pomysłów edukacyjnych. W efekcie dość często zdarzało się, że wnosiliśmy w wielkich kosztach na salę sportową piłki, których nie mogliśmy dotknąć przez całe ćwiczenia. Natomiast w czasie ćwiczeń byliśmy zasypywani teoretycznymi wywodami naszych nauczycieli na temat gry sportowej. Okazało się jednak, że

najważniejsza teoria na pierwszym roku studiów nazywała się Propedeutyką Wychowania Fizycznego, o czym zostaliśmy poinformowani na wykładzie przez prof. dr hab. Aleksandra Barańskiego. W związku z chorobą a później śmiercią Profesora, wykłady dla mojego rocznika zaczęła prowadzić dr Bożena Sekita. To od niej dowiedziałem się, że egzamin z Teorii Wychowania Fizycznego odbędzie się na czwartym roku i będzie obejmował treści z zajęć z pierwszego semestru. Na jednym z wykładów dotyczących zagadnień związanych z motoryką Pani doktor poinformowała nas, że zwolni z egzaminu i postawi ocenę bardzo dobrą każdemu studentowi, który ustoi na palcach jednej nogi ugiętej w stawie kolanowym przez 5 sekund z zamkniętymi oczami. Jacy byliśmy naiwni – nie wiedzieliśmy, że zadanie to dla zdrowego człowieka jest niewykonalne – przez prawie miesiąc trenowaliśmy z nadzieją na sukces.

Po zaliczeniu wykładów na jakiś czas zapomniałem o „groźnej” Pani doktor Sekicie i dopiero na czwartym roku studiów ponownie odkryłem jej obecność w moim życiu. Egzamin z Teorii Wychowania Fizycznego należał w owym czasie do grupy najtrudniejszych. Trzeba było nauczyć się wielu rzeczy na pamięć, a że o książki w tamtym okresie nie było łatwo, uczyliśmy się przeważnie z notatek własnych i starszych kolegów, które niestety nie zawsze były dokładne. Pierwsze podejście do egzaminu pisemnego okazało się dla mnie niepomyślne. Byłem zły na siebie, bo pytania okazały się stosunkowo proste, ale ja z góry założyłem, że nie dam rady przygotować się do pierwszego terminu. Drugi termin był egzaminem ustnym, który zdawało się u Pani dr Bożeny Sekity. Bałem się tego egzaminu i przygotowywałem się do niego bardzo starannie. Dowiedziałem się od kolegów, że Pani doktor dużą wagę przywiązuje do estetyki kostiumu studenta przystępującego do egzaminu. Postanowiłem wykorzystać tę informację. Poprosiłem rodziców o zakup nowego garnituru, butów, krawatu i koszuli. Z głową napakowaną informacjami, w nowym ubraniu, wyruszyłem na egzamin z Teorii Wychowania Fizycznego. Pamiętam, że Pani dr Sekita zapraszała czteroosobowe grupy studentów do swojego pokoju mieszczącego się na pierwszym piętrze w budynku przy ulicy Witelona 10. Studenci do grup dobierali się sami i na korytarzu toczyły się rozważania, kto z kim i kiedy wchodzi na egzamin. Po jakimś czasie, gdy coraz więcej osób nie zdawało egzaminu zaczęło brakować chętnych do spotkania z Panią Bożeną. Wszyscy starali się czekać na lepszy humor egzaminatorki. Ja również uznałem, że jeszcze powinienem poczekać i pouczyć się trochę, słuchając informacji od kolegów i koleżanek, którzy wyszli już ze spotkania z Panią Bożeną. Wszyscy bacznie sprawdzaliśmy jakie pytania już padły, jak odpowiadano na nie oraz słuchaliśmy wskazówek o tym, na co szczególnie zwrócić uwagę przy omawianiu poszczególnych zagadnień. Właśnie wtedy,

gdy trwała licytacja, kto ma wejść na egzamin, gwałtownie otworzyły się drzwi, w których stała zniecierpliwiona Pani doktor. Obrzuciła nas wnikliwym spojrzeniem i wskazując palcem na mnie głośno powiedziała – tak powinien być ubrany student, który przystępuje do egzaminu. Następnie wskazała na cztery osoby, które zaprosiła na egzamin. W tej grupie oprócz mnie znalazły się dwie studentki i jeden student. Po wejściu do pokoju usiedliśmy na krzesłach, naprzeciwko biurka Pani doktor. Spojrzała na nas z uśmiechem, a następnie otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła z niej mały, żółty pistolet na wodę. Za chwilę z jeszcze większym uśmiechem na twarzy powiedziała: „Teraz będę do was strzelać pytaniami”. To zapewne miał być żart, ale nam raczej nie było do śmiechu. Po chwili Pani Bożena zauważyła, że jedna ze studentek jest w stanie błogosławionym. Przez moment zastanawiała się, a następnie poinformowała studentkę, że nie będzie jej narażała na stres, i że nie chce być odpowiedzialna za ewentualny przedwczesny poród. Pomimo próśb wyprosiła dziewczynę z pomieszczenia informując, że może ją zaprosić tylko na indywidualne spotkanie. Atmosfera zrobiła się nerwowa i właśnie wtedy Pani doktor zaczęła zadawać pytania. Schemat egzaminowania był następujący, odpowiadała pierwsza osoba, a kolejne osoby miały za zadanie uzupełniać wypowiedzi egzaminowanego. Ja byłem na końcu „kolejki” i tak się złożyło, że zarówno przy odpowiedzi pierwszej i drugiej osoby mogłem wykazać się swoją wiedzą. Kiedy przyszła moja kolej Pani doktor zadała mi tylko jedno pytanie. Po udzieleniu odpowiedzi zostałem poinformowany, że otrzymałem ocenę dobrą. Byłem szczęśliwy, biorąc pod uwagę, fakt że jako jedyny z trzech osób zdałem egzamin. Chyba tydzień po egzaminie dowiedziałem się od koleżanki, która była w ciąży, że zdała również egzamin, a Pani dr Sekita była dla niej bardzo życzliwa.

Po zakończeniu studiów odbyłem obowiązkową wtedy służbę wojskową, a później podjąłem pracę w XI Liceum Ogólnokształcącym we Wrocławiu w charakterze nauczyciela wychowania fizycznego. Po roku pracy zostałem przeniesiony do nieistniejącej już Szkoły Podstawowej Nr 66, mieszczącej się przy ulicy Dembowskiego we Wrocławiu. Pracując w szkole nie przypuszczałem, że jeszcze kiedykolwiek spotkam Panią dr Bożenę Sekitę. Po roku pracy w szkole podstawowej zaproponowano mi pełnienie funkcji nauczyciela szkoły ćwiczeń. Na prowadzone przeze mnie lekcje zaczęli przychodzić studenci z pracownikami ówczesnego Zakładu Teorii i Metodyki Wychowania Fizycznego. Po czterech latach pracy w szkole podstawowej otrzymałem od doc. dr. Bolesława Słupika propozycję przejścia do pracy do Akademii Wychowania Fizycznego. Po przeanalizowaniu propozycji doszedłem do wniosku, że co prawda nie będę więcej zarabiał niż w szkole, ale będę miał mniej godzin pracy w semestrze. Od roku 1986 roku

rozpocząłem pracę w Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu w Zakładzie Metodyki Wychowania Fizycznego. Na początku pracowałem na pół etatu, a od kolejnego roku akademickiego stałem się pełnoetatowym pracownikiem katedry. Pierwszym przedmiotem, który prowadziłem były „Zabawy i Gry Ruchowe”. Radosny okres moich doświadczeń dydaktycznych związanych z pracą ze studentami uległ poszerzeniu wtedy, gdy w programie obozu zimowego pojawił się przedmiot o nazwie „Zabawy i gry ruchowe na śniegu i lodzie”. Zostałem wyznaczony przez docenta Słupika do prowadzenia tych zajęć i tak doszło do ponownego spotkania z Panią dr Bożeną Sekitą. Pani Bożena pełniła funkcję kierownika obozu zimowego w Zieleńcu, a ja byłem jednym z nauczycieli, którzy prowadzili zajęcia. W związku z tym, że Pani doktor zabrała ze sobą małoletniego siostrzeńca dość często pojawiała się z nim na moich zajęciach. Wtedy odkryłem inne oblicze mojej nauczycielki. Troskliwa i opiekuńcza wobec malucha którym się opiekowała, a zarazem konsekwentna i nie ulegająca jego zachciankom. Potrafiła również dyskretnie i taktownie zasugerować mi lepsze rozwiązania organizacyjne w taki sposób, że nie czułem się ani oceniany, ani kontrolowany.

Niestety po dwóch, albo trzech latach zmieniono program obozu zimowego i przestałem jeździć do Zieleńca jako wykładowca. Moje kontakty z Panią Bożeną praktycznie ograniczyły się do przypadkowych spotkań na terenie uczelni i wymiany zwyczajowych pozdrowień. Sytuacja zmieniła się gdy do Katedry Dydaktyki Wychowania Fizycznego włączony został Zakład Teorii Wychowania Fizycznego. Zacząłem spotykać Panią doktor regularnie na odbywających się co miesiąc zebraniach katedry. Tu odkryłem kolejny talent Pani Bożeny, nie często spotykaną zdolność do logicznej analizy i syntezy naukowej. Pytania, które zadawała referentom niekiedy były dla nich trudne, bądź niewygodne, ale to dzięki nim mogli dostrzec błędy lub luki w przyjętym przez siebie toku rozumowania. Rozległa i głęboka wiedza Pani Bożeny obnażała małe pomysły początkujących badaczy, ale była również pomocna w poszukiwaniu sensownych rozwiązań i ratowania chybionych projektów badawczych. Wiem, że nie zawsze uwagi Pani Bożeny były odbierane jako pomoc i wartościowe rady. Niektórzy doszukiwali się w nich złośliwości lub niewiedzy Pani doktor. Jednak po jakimś czasie okazywało się, że to Pani dr Bożena Sekita miała rację.

Jako kierownik Zakładu, a później Zespołu Metodyki Szkolnego Wychowania Fizycznego wielokrotnie dyskutowałem z Panią Bożeną, ustalając istotne szczegóły dotyczące relacji pomiędzy teorią a metodyką wychowania fizycznego. Zauważyłem, że potrafi nie tylko analizować i oceniać, ale również słuchać i przyjmować argumenty, a także modyfikować swoje pierwotne stanowisko w sprawach, o których rozmawialiśmy. Umiała zgodzić się z

inną perspektywę poznawczą o ile była logiczna i spójny konstrukcyjnie oraz zgodna z funkcjonującymi teoriami naukowymi. Jak przekonałem się wielokrotnie, czasami bardziej formalnie od niej utytułowani nauczyciele mogli się od niej w tym względzie wiele nauczyć.

Nasze kontakty uległy jeszcze większemu zacieśnieniu po objęciu przeze mnie funkcji kierownika Zespołu Teorii Wychowania Fizycznego. Pracując nad nowym programem przedmiotu spotykaliśmy się kilka razy w tygodniu. Nasze dyskusje nie ograniczały się wyłącznie do spraw programowych, często rozmawialiśmy o rodzinie, naszych problemach i sprawach związanych z życiem codziennym. Okazało się, że Pani Bożena ma bardzo dobrą pamięć i wielkie serce. Starła się pomagać wszystkim, którzy o taką pomoc prosili, nie żądając nic w zamian. Wtedy udało mi się odkryć kolejne oblicze Bożeny.

W naszych życiowych spotkaniach było coś dla mnie intrygującego. Po raz pierwszy zetknąłem się z Panią dr Bożeną Sekitą, gdy miałem 19 lat, a po raz ostatni gdy kończyłem 56 rok życia. Na początku była dla mnie wymagającą nauczycielką, o której niewiele wiedziałem. Później okazała się znajomą z pracy, która z rozwagą obserwowała i komentowała moje działania, a pod koniec naszej znajomości była dla mnie nie tylko koleżanką, ale kimś, kogo mogłem nazwać przyjaciółką – bratnią duszą. W wielu sprawach rozumieliśmy się bez słów. Zawsze mogłem liczyć na jej pomoc, zarówno wtedy gdy potrzebowałem zastępstwa w pracy, porady, czy po prostu chciałem porozmawiać o nurtujących mnie problemach naukowych. Nawet wtedy, gdy przestała pracować w uczelni i odeszła na emeryturę, dzwoniliśmy do siebie, wymieniając się różnymi informacjami. Lubiała opowiadać o swoich planach wakacyjnych, losach siostrzenicy i siostrzeńca, o ich dzieciach, ale zawsze pytała się o to, co dzieje się w katedrze, zespole i na uczelni. W połowie 2013 r. nasze kontakty uległy pewnemu rozluźnieniu w związku ze zmianami, które zaszły w moim życiu. Po długich rozmyślaniach zmieniłem miejsce pracy i mniej więcej w tym samym czasie moi rodzice zaczęli poważnie niedomagać zdrowotnie. Pochłonięty problemami dnia codziennego, opieką nad rodzicami i nowymi dla mnie zadaniami zawodowymi zaskoczony zostałem informacją o śmierci Bożeny. Dzięki uprzejmości Rodziny miałem możliwość zobaczyć ją i pożegnać się z nią po raz ostatni. Wyglądała tak jakby zasnęła i za chwilę miała się obudzić, żeby pójść na zajęcia ze studentami, które tak lubiała prowadzić.....

Mam nadzieję, że ostatnia podróż, w którą udała się Bożena, została przez nią starannie zaplanowana, tak jak wszystkie te, które odbyła wcześniej. Ja w moich wspomnieniach zachowam ją jako osobę, która pojawiała się i znikła w moim życiu, tak jak pory roku. Gdy byłem studentem pierwsze spotkanie porównać mogę z zimą – była chłodna, cicha i na swój

sposób groźna. Gdy zostałem pracownikiem Akademii nasze spotkania przypominały mi wiosnę – wyczuwałem siłę i energię płynącą od niej. Wtedy, gdy dane mi było poznać ją lepiej, była dla mnie jak lato – ciepła w kontaktach, gorąca w teoretycznych dyskusjach, a zarazem gotowa obdzielać owocami swojej wiedzy wszystkich, którzy chcieli po nie sięgnąć.

Na końcu muszę jeszcze napisać o dwóch rzeczach. Pomimo moich wieloletnich prób nie udało mi się namówić Bożeny do zaprzestania palenia papierosów. Nie trafiały do niej zarówno argumenty wychowawcze, jak i zdrowotne – a przecież prowadziła przedmiot „Edukacja zdrowotna” i wiedziała, że palenie jej nie służy. Żałuję również, że nie zdażyłem Bożenie opowiedzieć tego jak objawiała się w moim życiu i jak odkrywałem jej różne oblicza. Biorąc jednak pod uwagę to, że w moim życiu wydarzyło się wiele rzeczy zaskakujących i trudnych do przewidzenia, nie zdziwię się, gdy kiedyś ponownie spotkam Bożenę i poznam jej kolejne, czwarte oblicze

Marek Lewandowski

Pożegnania!

W styczniu bieżącego roku pożegnaliśmy dwóch naszych kolegów . **Zygmunt Kozak** na naszą uczelnię przyszedł z tak zwanego warszawskiego desantu. Z braku miejsc na warszawskiej AWF kilkanaście osób przeniesiono do Wrocławia. Z Zygmuntem prawie od początku studiów połączyła nas piłka ręczna. Zygmunt będąc jeszcze w szkole średniej uprawiał tę dyscyplinę. Był rodowitym chorzowianinem i mieszkał obok stadionu AKS Chorzów, gdzie była jedna z najlepszych w naszym kraju sekcja piłki ręcznej 11- osobowej, ponieważ w tamtych latach prowadzone były rozgrywki na wszystkich szczeblach w tej dyscyplinie. Już na pierwszym roku studiów uzyskaliśmy uprawnienia sędziego piłki ręcznej u pani mgr Krystyny Świerczyńskiej. Bardzo szybko awansowaliśmy i jeszcze będąc studentami sędziowaliśmy już na szczeblu centralnym. Nominację na sędziego związkowego uzyskaliśmy w roku 1957, a sędziami międzynarodowymi zostaliśmy w roku 1959. Zygmunt już od trzeciego roku studiów sympatyzował z koleżanką z młodszego rocznika Basią Rolewską. Po ukończeniu studiów wrócił na krótko do rodzinnego Chorzowa. Rozłąka nie trwała długo i przyjechał do Wałbrzycha, ponieważ Barbara po ukończeniu studiów wróciła do Wałbrzycha, gdzie mieszkali jej rodzice. Zygmunt sędziował mecze piłki ręcznej w najwyższej klasie rozgrywek w kraju oraz spotkania międzynarodowe. Obaj w 1961 roku, tuż przed postawieniem muru berlińskiego, sędziowaliśmy w NRD międzypaństwowe spotkanie w piłce

ręcznej 11- osobowej kobiet i mężczyzn NRD - Austria. Po kilku latach Zygmunt zostawił sędziowanie. W czasie studiów, na trzecim i czwartym roku, mieszkaliśmy w jednym pokoju, w słynnym domu studenckim „Pedeciak”. Zygmunt uwielbiał wszystkie gry karciane od tysiąca począwszy, a na bridżu skończywszy.

Z Tadeuszem Wolaninem poznaliśmy się w połowie września 1954 roku. Tadeusz podobnie jak Zygmunt, do Wrocławia przybył z tak zwanego warszawskiego desantu. Grupa warszawska oraz ci, którzy zdawali egzamin w terminie dodatkowym rozpoczęli studia w połowie września. Z Tadeuszem zamieszkaliśmy na Kotsisa w jednym pokoju razem z Radkiem Mrożkiem. Tadeusz pochodził z Siedlec i dlatego starał się na AWF w Warszawie. Pamiętam, że Tadeusz nie uprawiał zawodniczo żadnego sportu, ale sportem się interesował. Był dobrym studentem i wielokrotnie korzystałem z Jego notatek. Pod koniec drugiego roku studiów Tadeusz zainteresował się wioślarstwem i razem z Radkiem Mrożkiem, Jurkiem Drozdowskim oraz Kafarskim, studentem politechniki, stworzyli czwórkę wioślarską ze sternikiem. Tadeusz namówił mnie, żebym z nimi pływał jako sternik. Powiedział: „Ty jesteś mały, mieścisz się w limicie wagowym i będziesz pasował do naszej czwórki”. Jednocześnie byłem już sędzią piłki ręcznej i koszykówki. Ponieważ nie dało się tego pogodzić podziękowałem załozdze za możliwość współpracy. Po ukończeniu studiów Tadeusz wyjechał do Szczecina i rozpoczął pracę nauczyciela wychowania fizycznego w zespole Szkół Rolniczych w Szczecinie – Dąbiu. Po kilku latach spotkałem Go w Szczecinie na meczu piłki ręcznej, ja jako sędzia, a Tadeusz jako sympatyk Pogoni Szczecin. Tadeusz powiedział mi, że prowadzi drużynę piłki ręcznej z młodzieżą szkolną Zespołu Szkół Rolniczych i jego zespół zdobył mistrzostwo Polski Szkół Rolniczych. Odnosił sukcesy z młodzieżą nie tylko w piłce ręcznej, ale również w innych dyscyplinach. Tadeusz był bardzo koleżeński, był tytanem pracy. Jeszcze wielokrotnie spotykaliśmy się w Szczecinie na meczach piłki ręcznej. Był również wspaniałym organizatorem naszych rocznikowych zjazdów.

*Ryszard Helemejko
rocznik 1958*

Andrzej Werner 1940-2014



Andrzej Werner

Andrzej Werner był legendą wrocławskiego pływania sportowego jako czołowy zawodnik – 12 – krotny mistrz i rekordzista Polski a później trener klasy mistrzowskiej – wychowawca olimpijczyków. Od ukończenia w 1968 r. studiów był, z przerwami, związany z Akademią Wychowania Fizycznego, początkowo pracując jako stażysta-asystent, później jako pracownik naukowo – techniczny, a od lat dziewięćdziesiątych do 2008 r. jako starszy wykładowca w Zakładzie Pływania. Jako nauczyciel akademicki był wychowawcą kilku pokoleń nauczycieli, instruktorów i trenerów pływania, przekazując im swą bogatą wiedzę i umiejętności praktyczne w oparciu o własne, bogate doświadczenia zawodnicze i trenerskie. Do końca swojego życia pracował jako trener koordynator w swoim macierzystym klubie – WKS Śląsk Wrocław.

Pożegnaliśmy Go w środę 11 czerwca 2014 roku na Cmentarzu Grabiszyńskim we Wrocławiu.

Kochani Redaktorzy!

W 59 numerze biuletynu w przedostatnim zdaniu mojego opisu spotkania rocznika 1964 napisałam: „... a ja byłam u Lulki i Ryśka Paluszków”. To zdanie, to dopiero początek przepięknej historii, która mnie dogłębnie poruszyła. Nie wysłałam tego od razu, bo czekałam aż Rysiek to zaakceptuje lub nie – w końcu to kawał Jego życia. Zgodził się, więc piszę.

Pięknie wszyscy piszą o tych, których już nie ma, a mało o tym, co ja zobaczyłam. Piszą o swoich, lub innych kolegów sportowym życiu, ale o cichym bohaterstwie dnia codziennego w Biuletynie jakoś nie przeczytałam. Nasze życie absolwentów i z takich chwil się składa.

Otóż Lulka i Rysiek są kochającą się nieodmiennie parą już od czasów studenckich (w tym roku przypada 50-ta rocznica ukończenia przez nasz rocznik studiów). Całe życie wspierali się i podtrzymywali. Z tym, że Rysiek mnóstwo czasu spędzał na treningach, zawodach, wyjazdach, a Lulka po pracy „urzędowała” w domu z dwoma synami, zaś po latach wozila wnuczkę na basen i wychowała na mistrzowską pływaczkę.

Parę lat temu dopadła Lulkę choroba neurologiczna trudna do zdiagnozowania, aż ubiegłej jesieni straciła całkowicie świadomość. Rysiek szybko pozbierał się z pomocą rodziny z szoku i zaraz dołożył wszelkich starań, aby ukochana wróciła z mglistego świata, w którym na nic świadomie nie reagowała. I to widać, jak siła uczucia oraz wiary, bezinteresownego poświęcenia, czas tylko dla Niej, bezustanny monolog, wracają Jej uśmiech, czułe spojrzenie, uścisk ręki, słowa. Przecież, aby słowo wypowiedzieć, trzeba pamiętać, jak ono brzmi. Na balkonie Rysiek zrobił altankę z pnących kwiatów, aby wścibskie oczy sąsiadów Lulce nie zakłócały spokoju, gdy wygrzewa się na słońku (z trzeciego piętra trudno wydostać się codziennie na spacer).

Wzruszona otwartością, żarliwą wiarą i nadzieją Ryśka, chciałam chociaż przez parę chwil pobyc w tej atmosferze całkowitego poświęcenia się drugiej osobie. On oddaje Jej ten czas, gdy Go nie było w domu (sam tak mówi). To pięknie być tak wiernym przysiędze, sile przyjaźni, dożgonnej miłości. Chociaż „miłość niejedno ma imię” i trudno jednoznacznie ją zdefiniować, to na pewno jest nią trwałość w związku mimo przeszkód i trudności. Pamięta się dobro, które się dostało i to daje siłę i moc.

My, jeszcze jako tako zdrowi rozmawiamy o naszych dolegliwościach, tak raczej oględnie i z przymrużeniem oka. A tu taki wspaniały Rysiek nam się trafił.

Lulka była naszą starościna roku, a potem na nasze spotkania, a to jakiś doskonały placek upiekła, a to na ruskie pierogi całą bandę zaprosiła, a to karmiła na wycieczkach pysznościami ze swojej spiżarni.

Wiadomość ostatnia z początku tego roku: Lulka komentuje mecze i filmy, uśmiechem reaguje na czułe Ryśka słowa i gesty, a w czasie rodzinnej Wigilii u syna śpiewała kolędę.

PS

Na prośbę Ryśka kilka słów o dzieciach i wnukach.

Dwóch synów poszło inną drogą, ale czwórka wnucząt z pełnym zaangażowaniem, wytrwałością, pracowitością i zdolnościami jest dumą Dziadka: Weronika (21 lat) studiuje w USA i doskonali się w pływaniu po sukcesach w Polsce, Michał (19 lat) też świetnie pływa, jest studentem Politechniki, Aleksander (13 lat) gra w młodzieżowej reprezentacji w piłkę nożną w „Śląsku” Wrocław, a Mateusz (10 lat), bardzo utalentowany, trenuje pływanie w Sportowej Szkole Podstawowej Nr 72.

Barbara Nawrot - Rocznik 1964

Szanowne i szacowne grono absolwenckie ze Stowarzyszenia Absolwentów AWF we Wrocławiu

Wyrażamy wdzięczność za życzliwą pomoc udzieloną nam przy organizacji w naszym spotkaniu koleżeńskim, Absolwenckim 1953-1957 AWF Warszawa we Wrocławiu, jak i udział Waszego przedstawiciela.

Kilkoro naszych absolwentów podjęło pracę we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku. Pierwszy rok dyplomowy zapewniał nam pracę w całej Polsce. Kończyło nas 250 osób. Jedyny wówczas kierunek nauczycielski studiowało szerokie grono wybitnych sportowców, trenerów, działaczy. Byli wśród nas olimpijczycy, kadrowicze, no i zwykli nauczyciele. Po ponad 50 latach spotykamy się najczęściej w Warszawie. Trafiłam do Wrocławia i będąc Przewodnikiem po mieście i Terenowym postanowiłam zaprosić koleżeństwo do mojego miasta Wrocławia. Miało nas być ok. 40. Jednak sporo 80-latków zaczęło nam ubywać z szeregów, jedni na zawsze, inni miewają poważne kłopoty zdrowotne. Było nas 20 absolwentów.

Pracując we Wrocławiu w Studium WF na Politechnice po 32 latach odeszłam na emeryturę, ukończyłam kursy Przewodnictwa i Studium Pilotów Wycieczek Zagranicznych. Jestem ciągle aktywna. Poznałam szereg koleżeństwa po fachu w pracy – J. Bogdanowicza, małżeństwo Zielińskich-Azman, Magdę Lubieniecką i innych ze Studiów WF wyższych uczelni. Moje próby sportowe w l.a. szybko się zakończyły w AZS. Praca naukowa

nie powiodła się, kolejni promotorzy umierali...m.in. prof. Z. Skrocki. Turystyce pozostałam wierna. Czas było zaprezentować koleżeństwu piękniejący Wrocław. Jednak dla wielu Zjazd okazał się torem przeszkód nie do przebycia. Ponieważ przybyło tylko 2 Olimpijczyków, nie organizowaliśmy spotkania z Wrocławskimi.

Dziękujemy za życzliwość, pomoc ze strony Stowarzyszenia w osobach kol. H. Jezierskiej, kol. R. Helemejko oraz udziału kol. Jadwigi Świętochowskiej. Informacje nam udzielone przekazemy do Stowarzyszenia Absolwentów w Warszawie na Bielanych.

W imieniu Rocznika dziękuje organizatorka spotkania

*Maria Warzecha – Czarnecka
wraz z przedstawicielstwem Absolwentów w osobach
Andrzeja Marynki i Kajetana Hędzela*

Życzenia

Dziękujemy za nadesłane Wielkanocne życzenia.



*Kartka Wielkanocna z rysunkiem Tosi od Baśki
z Gorców*

„Wspomnienia to coś, co zyskało trwałość, jakiej terazniejszość jeszcze nie posiada” – M. Yourcenar.

Z upływem lat, coraz bardziej się o tym przekonuję, gdy czytam o naszych wykładowcach, instruktorach, kolegach. Dzięki Wam za tyle lat pracy, za zbliżanie nam naszych spraw, za cierpliwość i wytrwałość i życzę ciepła i pogody w sercach, zdrowia w

ciałach i pięknych wspomnień ze wspólnej pracy i zabawy.

Baśka z Gorców z Rodziną

Wiosna!

Już za oknem widać wiosnę
Bo ptak głośniejsze śpiewa
Słońce świeci coraz jaśniej
W sadzie kwitną krzewy, drzewa
Jak co roku się powtarza
Cykl Świątecznych zdarzeń
Lecz nie wszyscy się spotkają
Mimo pragnień, marzeń
Choć pragnienia są ogromne
By do stołu usiąść razem
To realia pozostają W sferze naszych marzeń.

Wesołych Świąt Wielkanocnych, smacznego jajka, wesołej zabawy w lany poniedziałek oraz samych słonecznych i cudownych dni życzą

Albina i Bronisław Pietrasowie

Alleluja, Alleluja! Wesoły nam dziś dzień nastał; Chrystus zmartwychwstał.
Radujcie się więc, radujcie! Z serdecznymi życzeniami

Teresa Nowakowska

Zdrowych, pogodnych i wesołych Świąt Wielkanocnych życzy

Antoni Mucha

W radosnym dniu Zmartwychwstania Pana zdrowych i pogodnych Świąt Wielkanocnych, obfitości na świątecznym stole, smacznego jajka oraz wiosennego nastroju w rodzinnym gronie Zarządowi Stowarzyszenia i wszystkim działającym w Stowarzyszeniu życzą

Małgorzata i Andrzej Gralińscy

Zdrowych, pogodnych Świąt Wielkanocnych, pełnych wiary, nadziei i miłości, radosnego wiosennego nastroju, serdecznych spotkań w gronie rodziny i przyjaciół życzy całemu Zarządowi

Tadeusz Dłużyński z Pabianic

Srebrny medal Halowych Mistrzostw Świata

W dniach 25 – 30 marca 2014 r. w Budapeszcie odbyły się Halowe Mistrzostwa Świata Weteranów. W mistrzostwach startowało ponad 3800 zawodników z całego świata. Polacy znaleźli się w 65-osobowej grupie, a w tej liczbie 9 Wielkopolan. **Czesław Roszczak**, reprezentujący barwy UKS „Olimpijczyk” Pogorzela, po raz pierwszy wziął udział w tego typu zawodach. Pojechał w towarzystwie „grypy”, która doskonale rozwinęła się na imprezie. Polacy ogółem zdobyli 33 medale (8 złotych, 14 srebrnych i 11 brązowych).

Czesław Roszczak. wziął udział w czterech konkurencjach. W pierwszym starcie drugiego dnia mistrzostw w rzucie ciężarkiem uzyskał wynik 16,62 m, który jest nowym rekordem Polski na hali. Niestety, okazał się 9 wynikiem i nie dał możliwości startu w finale, ale dał satysfakcję Czesławowi, bo wyprzedził on Ryszarda Krzesińskiego, rekordzistę Polski na stadionie. Drugą konkurencją był rzut młotem. Rzutem na odległość Czesław uplasował się na 10 miejscu. Następnego dnia odbył się konkurs pchnięcia kulą. Już w pierwszej kolejce wynik 13,43 m uplasował Czesława na prowadzeniu. W czwartej kolejce eliminacyjnej na prowadzenie wyszedł Niemiec Caspers Lutz wynikiem 13,45 m. Korzystnie to wszystko wyglądało do 6 próby. W tej ostatniej pchający techniką obrotową Szwed Arvidsson uzyskał 13,82 m i wyszedł na prowadzenie. Po nim kończył konkurs Marek Głowacki z Kanady

i też poprawił swój wynik na 13,74 m. Czesław został zepchnięty na czwarte miejsce. Ostatni rzut, pomimo pełnej koncentracji nic nie wniósł do współzawodnictwa. Do brązowego medalu zabrakło 2 cm. Jak widać konkurs był ciekawy i walka na rzutni była bardzo zacięta.

W ostatnim dniu Mistrzostw odbył się rzut dyskiem. Po przedstawieniu godziny do przodu z powodu zmiany czasu,



Czesław Roszczak na podium Halowych Mistrzostw Świata Weteranów

start Czesława o godz. 9 i nadal z gripą, był dużą niewiadomą. Uzyskanie w rzutach eliminacyjnych wyniku 41,72 m plasowało Czesława na pierwszym miejscu i nic nie wskazywało, że może być inaczej. Jednak w piątej, finałowej kolejce Austriak Helmut Lang rzucił na odległość 42,70 m bijąc rekord życiowy wyszedł na prowadzenie. Ostatni rzut zawodów oddany przez Czesława był udany technicznie i wydawało się, że będzie zwycięski. Jednak po zmierzeniu przez sędziów odległości okazało się, że osiągnięty wynik 41,85 dał 2 miejsce i srebrny medal.

Redakcja

Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu Mistrzem Dolnośląskiej Ligi Międzyuczelnianej



Władze Uczelni z naszymi nagrodzonymi sportowcami

4 czerwca 2014 r. miało miejsce podsumowanie rywalizacji, prowadzonej w ramach rozgrywek Dolnośląskiej Ligi Międzyuczelnianej 2013/2014. W uroczystości przygotowanej przez organizatora przedsięwzięcia – Dolnośląską Organizację Środowiskową AZS, z ramienia naszej Uczelni udział wzięli: Rektor AWF we Wrocławiu prof. Juliusz

Migasiewicz, Prorektor ds. Studenckich i Sportu Akademickiego dr hab. Andrzej Rokita, prof. AWF i Kanclerz dr Zdzisław Paliga. Wygraliśmy tegoroczne zmagania dzięki znakomitym результатам naszych studentów, którzy wygrali rywalizację w następujących dyscyplinach:

- badminton kobiet,
- badminton mężczyzn,
- futsal kobiet,
- koszykówka kobiet
- lekkoatletyka kobiet,
- lekkoatletyka mężczyzn,
- piłka ręczna kobiet,
- piłka ręczna mężczyzn,

- pływanie kobiet,
- pływanie mężczyzn,
- tenis mężczyzn.

Składamy serdeczne podziękowania wszystkim studentom-sportowcom, a także ich trenerom za trud i wysiłek na rzecz popularyzowania kultury fizycznej i upowszechnianie dobrego imienia naszej Uczelni.

Sukcesy sportowe pracowników Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu

16 marca br. we Wrocławiu odbył się pierwszy bieg masowy na dystansie 10 km pod nazwą „DZIESIĄTKA WROACTIV”. Wystartowało blisko 1800 osób. Najszybciej trasę pokonał Kenijczyk David Metto, najlepszy z Polaków Mateusz Demczyszak z Jaworzyny Śląskiej był piąty. Trasa biegu wyznaczona była na okrążenie wokół Stadionu Miejskiego, a około 300 zawodników przebiegło dodatkowy kilometr wokół stadionu. Ostatnia część trasy także nie należała do łatwych zawodnicy biegli pod silnie wiejący i porywisty wiatr, który potrafił nawet zatrzymać niektórych w miejscu.

W biegu wystartowali zawodnicy z Kenii, Ukrainy, Norwegii, Węgier, a nawet Korei. Na starcie pojawili się m.in. sprinter Marcin Jędrusiński, który ze sztafetą 4x100 zdobył srebrny medal Mistrzostw Europy w Goteborgu w 2006 roku i Marcin Marciniśzyn, wielokrotny brązowy medalista Mistrzostw Europy i halowych Mistrzostw Świata w sztafecie 4x400. Wystartowali także m.in. Piotr Mazur, dyrektor Biura Sportu w Urzędzie Miasta Wrocławia, Jacek Sutryk, dyrektor Departamentu Spraw Społecznych w Urzędzie Miasta czy senator Jarosław Obremski i prezes spółki Wrocław 2012 Robert Pietruszyn.

Po raz pierwszy utworzono dodatkową klasyfikację przeznaczoną dla pracowników naukowych uczelni. Akademię Wychowania Fizycznego we Wrocławiu reprezentowali dwaj doktorzy zajmując czołowe miejsca w klasyfikacji pracowników naukowych uczelni wyższych. Po korekcie związanej z nieplanowanym wydłużeniem trasy o 1 km uzyskali następujące miejsca i czasy:

- dr Ryszard Michalski (Katedra Lekkoatletyki i Gimnastyki) 4 miejsce - 42:59
- dr Paweł Posłuszny (Katedra Biostruktury) 5 miejsce - 44:07

II Dolnośląskie Święto Sportu

II Dolnośląskie Święto Sportu odbyło się z udziałem około 4 tysięcy uczestników przy bardzo ładnej pogodzie. Podczas sobotniej imprezy w kompleksie Stadionu Olimpijskiego dla każdego znalazło się wiele atrakcji.

Imprezę uświetnili obecnością między innymi: Natalia Czerwonka, Bartosz Kurek, Sławomir Szał, Bartosz Jurecki, Grzegorz Tkaczyk, Bartłomiej Jaszka, Krzysztof i Marcin Lijewscy, Rafał Omelko, Robert Skibniewski, Radosław Hyży, siatkarki Impelu Wrocław, szermierze i lekkoatleci. Byli też medaliści olimpijscy sprzed lat między innymi: Renata Mauer-Różańska, Ry-



Znicz zapala Srebrna medalistka Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Soczi 2014 Natalia Czerwonka



Na otwarciu imprezy przemawia JM Rektor prof. Juliusz Migasiewicz

szard Podlas, Leszek Swornowski, przedstawiciele Dolnośląskiej Rady Olimpijskiej z Mieczysławem Łopatką, Danutą Bułkowską-Milej, Janem Brzeźnym i innymi.

Otwarcia II Dolnośląskiego Święta Sportu dokonali wicemarszałek województwa dolnośląskiego, Radosław Mołoń oraz Rektor Akademii Wychowania Fizycznego

we Wrocławiu, prof. dr hab. Juliusz Migasiewicz.

Tak wysoka frekwencja to zasługa organizatorów imprezy, między innymi: prorektora dr hab. Andrzeja Rokity, prof. AWF, kanclerza dra Zdzisława Paligi i dyrektora AZS AWF dr. hab. Grzegorza Żurka oraz wielu innych osób, w tym studentów naszej Uczelni.

Wiersze

Kartka z podróży

Jesteśmy gościnnie w Polanicy
Dookoła woda i las
Rozmawiamy na różne tematy
I wspominamy Was
Odeszli nasi najbliżsi
Przyjaciele, sąsiedzi też
Na to nic nie poradzimy
Tak to już w życiu jest
Nam jak na razie los sprzyja
Idziemy z uśmiechem przez świat
Mamy mądre i zdrowe dzieci i wnuki
Żyjemy Razem 51 lat!

Łączymy pozdrowienia i uściski - A i B. Pietrasowie



*Panorama parku w Polanicy
Zdroju*

Sny

Ryszardzie
Często przychodzisz do Nas w snach
Nie mówiąc nic nikomu
Siadasz na łóżku obok Nas
I jesteś gościem w naszym domu.
Szepczemy sobie całą noc
Rozmowom nie ma końca

Aż kur zapieje głośno tak
Że wstanie nowe słońce.
I znowu czekamy kilka dni
Aż noc zapadnie ciemna
Zapukasz wtedy do Naszych drzwi
I znowu jesteś ze Mną i ze Mną
Z Nami.

W pierwszą rocznicę śmierci Ryśkowi – A. i B. Pietrasowie

Poranek we Wrocławiu

odbite w wodzie światła miasta i blask księżyca
płyną rzeką Odrą ręka w rękę
brzask miasta zaczyna zanurzać mosty
w głębokim ukłonie
kontury uśpionych jeszcze domów
obejmuje nadchodzący świt
kroki przechodniów stukają
w wąskich uliczkach rynku
rytm poranka
tramwaje wyjechały już z zajezdni
z hukiem jak złe duchy
wiozą porcje ludzkiego pragnienia i smutku
ze wszystkich stron ruszyły samochody
i stanęły w długich korkach
dzień powszedni wstaje

Izabella Degen



*Jedna z malowniczych uliczek
wokół Wrocławskiego Rynku -
Jatki o świcie*

Humor

Olejnica w anegdocie z notatnika Henryka Nawary
(czekamy na następne opisy zabawnych obozowych sytuacji od czytelników Biuletynu)

Butonierka

Kadra na obozach dbała o kulturę słowa; nie tolerowaliśmy przekleństw i nie zezwalaliśmy studentom na używanie wulgaryzmów. Konsekwentnie zwracaliśmy uwagę na nieodpowiednie słownictwo zawsze wówczas, kiedy byliśmy świadkami takich zachowań. Jeden z obozów był pod tym względem szczególnie trudny. Wielokrotnie musieliśmy upominać studentów, ganiąc ich naganne pod tym względem zachowanie. Któregoś dnia studenci organizowali pod moim kierunkiem imprezę obozową pt. „Księżycowy czat”. Dwoje studentów, chłopiec i dziewczyna, malowało plakat – monidło z wyciętymi otworami na głowy przedstawiające parę: kobietę w sukni ślubnej i mężczyznę w garniturze. Kiedy ukończyli pracę pokazali mi gotową planszę. Suknia była barwna i dekoracyjna, garnitur czarny i mało efektowny.

- Domaluj jeszcze goździk w butonierce, plakat będzie ciekawszy - zaproponowałem studentce.

- A co to jest „butonierka”? - zapytała. W kilku słowach wyjaśniłem co miałem na myśli.

- Nadal nie wiem co to jest i po co się przyczepia do marynarki - odpowiedziała zniecierpliwiona.

Następnego dnia, rano tuż przed apelem porannym, opowiedziałem opisaną sytuację kolegom - reakcja jednego z nich, Piotra Zarzyckiego, była następująca:

- Bo powinieś Heniu odezwać się do nich w ich własnym języku, wtedy byłbyś od razu dobrze zrozumiany.

- Czyli co miałem jej powiedzieć?

- Jebnij córka zioło w klapę!

Terminarz spotkań w Dworze Polskim

*** 14 października 2014 (wtorek) – godz. 18.00 - Dwór Polski**
„Jeździectwo na Dolnym Śląsku wśród wuefiaków”

*** 14 grudnia 2014 (niedziela) – godz. 17.00 – Dwór Polski**
Spotkanie opłatkowe

*** 13 stycznia 2015 (wtorek) – godz. 18.00 – Dwór Polski**
Wieczór kolęd

Zarząd Stowarzyszenia



Biuletyn Absolwenta (61)

Kolegium redakcyjne: Halina Jezierska, Zbigniew Najsarek, Henryk Nawara,
Henryk Sienkiewicz

Konto bankowe: 73 1950 0001 2006 0778 4196 0002

Konto dla abs. za granicą: IEEAPLPA 73 1950 0001 2006 0778 4196 0002

Adres: Stowarzyszenie Absolwentów, Akademia Wychowania Fizycznego
ul. Witelona 25, 51-617 Wrocław, tel. (71) 347-31-23

Internet: <http://absolwenci.awf.wroc.pl/>

e-mail: stow.absolwentow@awf.wroc.pl

Dyżury: sekretariat Stowarzyszenia - ul. Witelona 25
wtorki i czwartki godz. 11.00 - 12.30